

Andrzej Skiba

„TOCZĄC SZTANGĘ PRZEZ ŚWIAT”

*Dla Majki,
Mój Ty Aniele Stróžu*

*Ze specjalną dedykacją dla
Marii Rogóyskiej*

Andrzej Skiba

„TOCZĄC SZTANGĘ PRZEZ ŚWIAT”

Redakcja książki: Orenda Aleksandra Petryka

Wydawnictwo Czytelnik

Rok 2019

Wstęp z Internetu (na początku książki)

Andrzej Skiba jest byłym szefem wyszkolenia PZPC w latach 1972-1981 i 1986-1990 oraz trenerem kadry juniorów w latach 1970-1972. Na MŚ seniorów przyjechał jako trener kadry narodowej... Kataru, gdzie jak się okazało, przebywa już od prawie 10 lat. Chętnie zgodził się opowiedzieć Czytelnikom o tym wszystkim, co robił po wyjeździe z kraju.

– Zanim wyjechałem z Polski na dobre, w latach 1981-1985 byłem jeszcze trenerem kadry narodowej Meksyku, z którą wystąpiłem na igrzyskach olimpijskich w Los Angeles (1984), a następnie przez 5 lat pracowałem jeszcze w PZPC. W 1991 r. zamieszkałem na krótko w Sopocie, wtedy też na bazie Stoczniewca Gdańsk założyłem sekcję podnoszenia ciężarów Atlety Gdańsk, po czym... wyjechałem do Ameryki Płd., gdzie pracowałem m.in. w Brazylii, Argentynie i Urugwaju.

– Na igrzyska do Barcelony (1992) zabrałem po jednym zawodniku z tych państw. Po igrzyskach rozpocząłem pracę w Urugwaju, gdzie zostałem trenerem tamtejszej kadry narodowej. Ciężarowcy tego kraju zdobyli wówczas wiele medali na Igrzyskach Panamerykańskich i Mistrzostwach Ameryki Płd., zarówno wśród seniorów, jak i juniorów. W 1995 r. zostałem zaproszony do pracy w Argentynie, gdzie pracowałem rok, a na Igrzyskach Panamerykańskich w Mar del Plata (1995) zdobyliśmy aż 5 medali, w tym 1 złoty Dario Lecmana. Wróciłem następnie znów do Urugwaju, gdzie kontynuowałem trenerską przygodę do 1998 r.

Bułgarzy zdobywali medale – pod koniec 1998 wyjechałem do Arabii Saudyjskiej, gdzie przebywałem do 1999 r. Na mistrzostwach krajów arabskich i Igrzyskach Panarabskich w Ammanie zdobyłem wraz z ich zawodnikami dziesiątki medali. Wkrótce potem, w 2000 r. sąsiedni Katar zaproponował mi pracę, gdzie jestem tam zresztą po dziś dzień. Objąłem tam samych młodych zawodników, należy bowiem pamiętać, że w tamtym czasie barwy Kataru reprezentowali... Bułgarzy, którzy za milion dolarów otrzymali katarskie paszporty, a prowadzili ich wówczas znani bułgarscy trenerzy: Ivan Abadzhiev i Zlatin Ivanov. Zawodnicy ci, występując m.in. na igrzyskach w Sydney (2000) i Atenach (2004) oraz mistrzostwach świata w tamtym okresie wywalczyli dla Kataru wiele medali, w tym także złote. Po 2004 r. ten dość niecodzienny zespół sztangistów zaczął się stopniowo wykruszać, aż wreszcie przestał zupełnie istnieć, a Bułgarzy wrócili do swojego kraju. Sukcesy Katarczyków, których wówczas jednak nie brakowało, spowodowały powstanie w tym kraju licznych siłowni. Przy okazji podnoszenia ciężarów, świetnie rozwinęła się tam także i kulturystyka, która dzisiaj odnosi na arenie międzynarodowej dużo większe sukcesy od ciężarowców. Co parę lat tworzę w

Katarze nową drużynę, zachęcając do uprawiania ciężarów już na zajęciach szkolnych, co kontynuuję zresztą do dzisiaj. Piękne obiekty, ale kobietom wstęp wzbroniony – warto jednak pamiętać, że co prawda w Katarze mieszka obecnie około półtora miliona ludzi, to jednak tych rodowitych Katarczyków jest tylko 400 tysięcy i jedynie wśród nich mogą szukać potencjalnych zawodników. W Katarze kobiety nie uprawiają ciężarów. W stolicy kraju – Doha wybudowano też m.in. największą na świecie krytą halę sportową, na bazie której powstała również Akademia Wychowania Fizycznego „ASPIRE”. W Katarze największą uwagę przykładą się jednak do gier zespołowych, dla których powstała cała masa pięknych obiektów. Tam też w 2006r. odbyły się Igrzyska Azjatyckie, natomiast rok wcześniej pamiętne mistrzostwa świata seniorów w podnoszeniu ciężarów.

– Obecnie prowadzę zespół sześciu młodych zawodników, ale podnoszenie ciężarów jest w tym kraju w pełni amatorską dyscypliną sportu, gdzie trenują m.in. policjanci, wojskowi oraz przedstawiciele innych zawodów. Największe nadzieje wiąże z Saeedem Al-Dosari, który startuje w grupie D kategorii do 94 kg (zajął 42. miejsce – red.).

– Jeśli pozwoli zdrowie, chciałbym zostać w Katarze przynajmniej do czasu igrzysk w Londynie (2012). W październiku w Iraku odbędą się Mistrzostwa Arabskie seniorów i juniorów w podnoszeniu ciężarów, które są dla Katarczyków priorytetową imprezą. W grudniu chcemy się też pokazać na Igrzyskach Azjatyckich w Guangzhou. Największe sukcesy odnosimy jednak na Mistrzostwach GULF – Państw Zatoki Arabskiej, które w pełni zadowalają moich pracodawców. Co będę robić po Londynie, tego jeszcze nie wiem, ale będę miał już wówczas 68 lat i chciałbym chyba wrócić do Polski. Aktualnie mieszkam w Doha, gdzie systematycznie odwiedza mnie też rodzina. Największą satysfakcję czuję jednak z tego, że po tylu latach pracy na trzech kontynentach wyszkoliłem i pozostawiłem dziesiątki, a może i setki ludzi, którzy pokochali naszą dyscyplinę sportu. To dla mnie chyba największa nagroda za tych 25 lat spędzonych poza krajem.

WSTĘP (wstęp właściwy)

Piszę te słowa mając 74 lata. Myśl o napisaniu wspomnień dojrzewała we mnie dość długo, może za długo, ale postaram się zdążyć opowiedzieć o tym wszystkim, co widziałem, słyszałem, przeżyłem i zapamiętałem w ciągu mego życia osobistego i zawodowego. Do napisania i upublicznienia tej opowieści upoważnia mnie poznanie ponad 60 krajów w trakcie mej działalności, jako zawodnika, trenera i organizatora w sporcie, a konkretnie w dyscyplinie olimpijskiej, jaką jest podnoszenie ciężarów. Będą się tu przeplatały elementy życiorysu, historii, geografii, życia społecznego, a więc socjologii. Korci mnie przekazać to wszystko w lekkiej, a nawet humorystycznej formie, bo taki mam charakter, choć bez przesady. Najważniejsza jednak w tej opowieści będzie tytułowa SZTANGA.

Mama moja Jadwiga pracowała od lat 30-tych do lat 70-tych w Polskiej Kasie Oszczędnościowej, czyli w PKO. Całe życie zawodowe aż do emerytury spędziła w jednej instytucji – nawet w czasie okupacji. Tuż przed wojną stać już ją było na wycieczkę statkiem dookoła Morza Śródziemnego.

Tatę mojego, Janusza, poznała w czasie okupacji. W 1942 roku wzięli ślub, a dwa lata później, w lutym, zostałem poczęty. Dokładniej mówiąc, poczęty zostałem w Warszawie w lutym 1944 roku w kamienicy na ulicy Kruczej, róg Pięknej i Mokotowskiej. Między poczęciem a urodzinami rozpoczęło się Powstanie Warszawskie, więc przeżywałem je w piwnicy domu obok, na Mokotowskiej, w łonie mamy, będącej w 6 miesiącu ciąży, jedzącej suchary i popijającej wodę z hydrantu.

Tata cudem ocalały z Oświęcimia i Litomierza znalazł nas w lecie '45. Potem przenieśliśmy się do Łodzi, bo Warszawa była spalona i od 1948 roku zdołaliśmy się zainstalować na warszawskim Powiślu.

Mama moja, Jadwiga Szczerbińska była więc urzędniczką banku Polskiej Kasy Oszczędności, a ojciec pracownikiem warszawskiego magistratu, czyli Ratusza. Pamiętnego, jak dnia 1 sierpnia tata poszedł jak co dzień do pracy na Plac Teatralny i tam został. Godzina „W” ich rozdzieliła.

Po Powstaniu mama przeszła obóz w Pruszkowie i wysłana została na wygnanie wraz z innymi cywilami do Karwina pod Kraków i tam w listopadzie w wiejskiej szkole urodziłem się ja. Ludzie umierali w tym transporcie jak muchy, a ja dzięki sile młodej mamy przeżyłem wraz z nią, i tak znaleźliśmy się w Karwinie w powiecie proszowickim, w domu nauczycielki wiejskiej szkoły – Anieliny Grzesik, która została chrześną. Poród zaś przyjmowała znachorka, a w internecie znaleźć można zdjęcie tejże szkoły Dnia 14 listopada, o godzinie 9 rano pojawiłem się na świecie w korytku

wypełnionym sianem, ale jeszcze tegoż świata nie ujrzałem, jak piszą niektórzy o dniu swoich narodzin. Bazując na szkicu Pana Pietrzaka, stwierdziłem jak przez mgłę, że jestem CHŁOPCEM i chcę nim być bez wahania na zawsze. Mama na chrzcie w kościele w Kowali dała mi na pierwsze Andrzej – na pamięć po zabitym przez Niemców młodszym bracie taty, na drugie zaś Janusz, jak tata, który gdzieś żył lub nie. Wieś przechodziła z rąk do rąk – to Niemców, to Sowietów – pamiętajmy, że była to już wiosna 1945 roku. Nie opiszę tu wszystkich różnic w traktowaniu nas przez obu okupantów, bo takie były prawa wojny i ówczesnej cywilizacji. Różnica polegała jednak na tym, że Niemcy nie gwałcili – oni po prostu zabijali, a Sowietci przed zabiciem gwałcili. Przyznać jednak należy, że oficer polityczny, kiedy sprawa stawała się zbyt głośna, wykonywał wyrok na żołnierzu wskazanym przez pokrzywdzone. Taki dzikus musiał wykopać sobie grób, stając się tym samym przykładem dla innych wyzwolicieli, choć nie zawsze skutecznym.

Pewnego dnia, latem '45 roku stał się CUD! „Tata pojawił się w mundurze amerykańskim, ostrzyżony na języka” – tak mi relacjonowała mama – a z nim cała wieś Karwin w procesji śpiewającej pieśni na cześć świętego Apostoła Andrzeja i chyba też Jana (Janusza-Janus, był taki w starożytności).

Pełnia lata, ja opalony, mama również (taką mamy karnację), tata nieco bledszy, ważący zaledwie 50 kg, ale nieco już podreperowany na zdrowiu, bo na szczęście wyzwolony z obozu przez Amerykanów z tamtej strony Łaby. Nim doszedł na piechotę z kolegami (ofiarami jak on) do kraju, został obrabowany wielokrotnie przez będących już na polskiej ziemi czerwonoarmistów. Tutaj zdecydowanie należy się pokłon Czerwonemu Krzyżowi za to, że potrafił w tych strasznych czasach wykonać swoją najwyższej klasy pracę humanitarną – odnajdował i łączył polskie rodziny! I tak, miałem mamusię i tatusia!

Wróciliśmy na gruzy Warszawy. Domu na Kruczej nie było, dom dziadków na ulicy Okrąg zburzony został jeszcze w 1939 roku. „Boże.. co ci Niemcy zrobili z miastem moich przodków, a teraz też i moim!” – myślałem. Zakotwicziliśmy się na Powiślu, na ulicy Radnej obok Elektrowni Warszawskiej. Pojedyncze kamienice wśród morza gruzów, a my, dzieciaki – o ironio – bawiliśmy się tam w wojnę.

Przygarnęły mnie Siostry Urszulanki z ulicy Wiślanej. Ich przedszkole było moją pierwszą uczelnią i tam uzyskałem stopień ministranta – nie mylić z magistrem. Msze były wówczas po łacinie, więc trochę jej liznałem, co okazało się w późniejszym czasie wspaniałą podstawą do poznawania języków romańskich, ale też i nordycko-germańskich – przecież najpierw cywilizowali Europę Kontynentalną Rzymianie, bo Grecy zajęci byli bardziej Morzem Śródziemnym. Kiedy Sobór Watykański Jana XXIII, zmienił liturgie w Kościołach narodowych, łacina zniknęła z naszej nauki i tak nadeszła nowa

cywilizacja. O Boże, pamiętam jeszcze, kiedy mamuśka cytowała mi różne sentencje po łacinie i grecku – takie były licea w II Rzeczypospolitej! Mieszkając na Powiślu trudno było nie kolegować się z synami piaskarzy (to tacy, co do odbudowy Warszawy wydobywali piasek z dna Wisły siłą własnych rąk), murarzy czy wozaków, bo i tacy byli obecni (do dziś mam takiego sąsiada).

W przedszkolu żyliśmy z paczek UNRA (organizacja ta została utworzona po to, by udzielić pomocy obszarom wyzwolonym w Europie i Azji po zakończeniu II wojny światowej), czyli pomocy USA poprzez ONZ, bo planu Marshalla dumna komuna „wspaniałomyślnie” przyjąć nie chciała. Potem była szkoła podstawowa obok na Drewnianej (nazwa od kostki brukowej, którą naczelnik Warszawy Sokrates Starynkiewicz – carski burmistrz, kazał wyłożyć ulice, aby dzieciom powozy nie hałasowały). Tenże Sokrates zlecił angielskiemu inżynierowi Wiliamowi Heerleinowi Lindleyowi zbudowanie nowoczesnej sieci wodociągów istniejącej i rozbudowywanej do dziś. On też zbudował taką sieć w Łodzi, podziemne zbiorniki na miarę tych rzymskich w Konstantynopolu – Istambule – można zwiedzać je do dziś w tych polskich miastach!

Symbolem tej podstawówki była kamienna rzeźba Sowy, ptaka symbolu mądrości – ta Sowa była na szczycie schodów przy głównym wejściu od ul. Drewnianej. Teraz jest na podwórku szkoły. O ile się nie mylę, była to podstawówka i liceum, bo pamiętam starsze, bardzo piękne dziewczyny z wyższych pięter szkoły, ubrane w białe bluzki. A może tak mi się tylko wtedy wydawało? W każdym razie nie widziałem wówczas piękniejszych.

Moja I Komunia w kościele św. Teresy na Tamce odbyła się bez taty, który siedział w więzieniu na Gęsiówce. Po wojnie komuna w taki sposób „witała” powracających synów Ojczyzny jeszcze w 1952 roku! Miałem wtedy 8 lat.

Trochę się rozmarzyłem, wróć więc do płci brzydszej. My, chłopaki, wzięliśmy się wówczas za sport, a że byliśmy łobuziakami z Powiśla, wybraliśmy zapasy, boks, ciężary. Z niektórych dzieciaków wyrosli w późniejszym czasie wielcy mistrzowie, ale nazwisk tu nie przytoczę.

Tata przed wojną był bardzo dobrym pływakiem w liceum Górskiego na ulicy Książęcej – uczniowie wówczas nie mogli być zarejestrowani w klubach quasi zawodowych jak Polonia, YMCA (Young Men's Christian Association) czy Legia. Nazwał się więc naszym herbem – Ślepowron. Zacząłem i ja pływać w YMCA na Konopnickiej, następnie w Polonii na Konwiktorskiej, a po kłótni z trenerem poszedłem na gimnastykę przyrządową na Foksal, w Polonii również trenowałem. Po tym jak mój trener po Igrzyskach Olimpijskich w Rzymie w 1960 roku został tam na stałe, ja zacząłem szukać innej dyscypliny sportu. Trochę pograłem w tenisa na Legii na kortach przy Myśliwieckiej, dzięki

czemu nasuwa mi się pewne wspomnienie – w kwadracie ulic Łazienkowska, Myśliwiecka, Szwoleżerów i Czerniakowska odbywały się wyścigi motocyklowe w klasach silników 125, 250, 350 i 500 ccm. Królami byli wówczas Dąbrowski i Żymirski w 500-tkach – pamiętam jego fruującą spod skórzanego kombinezonu kraciastą koszulę. Te motocykle to były angielskie Nortony, Triumphy, niemieckie DKW, Zundappy. Jeździły tam także samochody budowane jeszcze przed wojną – tu królował Longin Bielak. Wyścigi te odbywały się też na Wybrzeżu Kościuszkowskim, a nawet na trawiastym torze wyścigów konnych na Służewcu. Poszukując klubu i dyscypliny sportowej, którą mógłbym uprawiać mając już 15 lat, trafiłem do klubu Skra Warszawa na ulicy Wawelskiej, róg Żwirki i Wigury. Mieścił się tam stadion w kształcie litery U. W latach 50tych odbywały się tam wyścigi żużlowe – pamiętam do tej pory ciarki na plecach, czując zapach czystego metanolu, kiedy zagrały silniki angielskie, czeskie i włoskie, czyli Jap, Java i GM. Znani wówczas byli tacy żużlowcy z lat 50-tych, jak Smoczyk, Kołeczek, Szwendrowski, Połukard, a także Anglik Peter Craven i Szwed, którego nazwiska nie pomnę. Gdy na stadionie Skry zapadał zmrok, paliliśmy gazety, aby widzieć wyścigi do końca. Czasem tata zabierał mnie, aby pokazać mi parking, który znajdował się właśnie w tej części bez trybun. Jakież to było przeżycie posłuchać gangu tych grzejących się maszyn i patrzeć na zawodników w czarnych skórzanych kombinezonach z charakterystycznymi kowbojskimi chusteczkami na szyi zakładanymi na odwrót, aby chronić usta od żużla, jak robili kowboje, chroniąc się od piasku i pyłu prerii.

No i jesienią roku 1959 znalazłem przeznaczenie mojego życia – siłownię pełną sztang, kulolasek, odważników, czyli gwichtów. Znajdowała się ona w zagłębieniu ziemnym obok stadionu, gdzie mieścił się z kolei kort tenisowy z trybunami. Tamtejsze szatnie służyły nam za miejsce do dźwigania. Chętnymi do dźwigania byli uczniowie jak ja, studenci, robotnicy, inteligenci pracujący, jak mówiło się wówczas na takich. Pamiętam do dziś pewnego mecenasa z nieodłączną teczką, który przychodził głównie po to, aby poćwiczyć i pogadać z chłopakami. Trenowaliśmy trzy razy w tygodniu, a kiedy zaczęliśmy dźwigać większe ciężary, to i stan naszej muskulatury wskazywał na to, jakiego rodzaju sport uprawiamy. Zaczęto wysyłać nas na pokazy dźwigania. W tak zwanym czynie społecznym jeździliśmy w niedziele po mazowieckich miasteczkach krzewić kulturę fizyczną. Za pomost służyła nam wywalona brama od stodoły. Widzowie, czyli okoliczni mieszkańcy podziwiali nas na stojąco – chyba z szacunku dla naszej siły, choć prosiliśmy, aby usiedli wygodnie na ziemi. Trybun, a nawet krzeseł niestety nie było. Jeden z naszych najlżejszych kolegów, z wagi koguciej (do 56 kg) podnosił aż 100 kg, ale we wsi zawsze znajdował się jakiś „najsilniejszy”, który nie mógł zrozumieć,

ze taki „kaczan” – jak mówili – jest w stanie tyle podnieść. Podchodził więc taki grubas najczęściej do sztangi ważącej stówę, którą wcześniej podrzucił nasz „kogut”, chwycił ją w dłonie jak bochny i podciągał ją do kolan, czasem trochę wyżej. Ależ zdziwienie! – Co ty, Zdzichu! Dwa worki żyta bierzesz pod pachy i tej żerdzi z talerzami podnieść nie możesz?! – krzyczeli. Nagle siłacz zobaczył, że używamy magnezji, po to, aby gryf sztangi nie ślizgał się w spoconych dłoniach (jak gimnastycy zresztą) i zawołał: – Już wiem! Oni mają proszek na technikę!

Po pokazach zawsze zapraszano nad na podziękowalny obiad w GS-ie (gminna spółdzielnia) na zestaw klasyczny na który składał się schabowy z kapustą i 100g (wódke) dla prawdziwych mężczyzn. Jeździli z nami też zawodnicy z innych sekcji Skry – szermierze, bokserzy, zapaśnicy. Żał nam było bokserów, bo i ci jechali na pokaz jako przyjaciele a wracali jako wrogowie. Brali sobie bowiem bardzo do serca też pokaz i zaczynali ostrą bójkę aż do pierwszej krwi. Dobrze, że miejscowi nie włączali się do akcji, tylko patrzyli z ciekawością, kto i jak padnie, bo sędziego ze sobą nie mieliśmy. Na kortach Skry, na które widok mieliśmy z siłowni, w roku 1960 reprezentacje piłki ręcznej kobiet Niemiec Wschodnich i Zachodnich rozegrały mecz kwalifikujący do startu na Igrzyskach Olimpijskich w Rzymie. Tam właśnie oba państwa niemieckie (NRF i NRD) wystąpiły w sportach drużynowych jedną tylko reprezentacją. W hali sportowej Skry odbył się też koncert prekursorów polskiego big-beatu (rocka), a więc Czerwono-Czarnych z Kasią Sobczyk na czele i Michajem Burano – polskim Cyganem, który jako jeden z pierwszych śpiewał tutaj tę muzykę. Nawet jego zespół nazywał się Rhythm & Blues. I tak Klub Skra krzewił wówczas kulturę fizyczną, sport, a także kulturę zwaną teraz „popową”, czyli rozrywkową lekką muzą – a kiedyś nazywano tak przecież operetkę.

Wróć w tym momencie do mego taty. Otóż w liceum Górskiego zwerbował go do chóru męskiego prof. Wacław Lachman – założyciel jeszcze pod zaborem rosyjskim słynnego później zespołu Harfa. Jeszcze przed wojną, a później po wojnie objechali całą Europę reprezentując Polskę i jej klasyczną kulturę muzyczną. Pamiętam z podstawówki na Drewnianej jak woźny zaglądał do klasy i wołał: – „Skiba! Pani dyrektorka zwolniła cię na koncert ojca”.

Moja szkoła była popołudniowa, więc wieczorami wybierałem się do Filharmonii, Teatru Roma (wówczas Opera) albo NOT (Naczelna Organizacja Techniczna). Ojciec w chórze, więc i synek pierwszego tenora powinien być bliżej z muzyką, w związku z czym posłano mnie na lekcje fortepianu, najpierw do siostry mojej mamy, a potem do Pani prof. Ścisłowskiej na ulicy Cichej, a więc tuż obok, na Powiślu. Zapamiętałem z tych lekcji chodzenie na suknach po jej błyszczących posadzkach i grę na cztery ręce wraz z nią. Mówiła mi wówczas: – „Nie wolno ci grać w tenisa ani trzepać dywanów, aby

mieć miękkie nadgarstek pianisty”. O ironio! A ja niedługo potem zacząłem w Legii grać w tenisa, ćwiczyć gimnastykę w Polonii, a w końcu podnosić ciężary w Skrze!

Kluby sportowe były wówczas też ośrodkami życia towarzyskiego młodzieży, bez jakichkolwiek zabarwień politycznych. Polityka nie istniała w naszym życiu, była kompletnym marginesem – znam to z autopsji – ograniczaliśmy się do kawałów o PRL-u, po czym każdy zajmował się swoim życiem. I tak uprawiając sport kończyliśmy szkoły, uczelnie, a następnie podejmowaliśmy prace i zakładaliśmy rodziny. Będąc na uczelniach uczęszczaliśmy do klubów studenckich. Tam tętniło nasze życie kulturalne i rozrywkowe. W przypadku Warszawy były to kluby Stodoła, Hybrydy, Medyk. W Stodole zaczynały karierę Ewa Bem, Danuta Prońko, Fryderyka Elkana. Grali jazz Namysłowski, Zabiegliński, a jego żona Iza śmigała na parkiecie z Heniem Melomanem i Gieniem Frajerem. Piszę o czasach Stodoły na ulicy Trębackiej w latach 60-tych, ale klub ten zaczął działalność na ulicy Emilii Plater w dawnej stołowce dla robotników radzieckich budujących Pałac Kultury i Nauki imienia Józefa Stalina. Klub funkcjonował też na ulicy Nowowiejskiej, choć aktualnie bawimy się na ulicy Batorego, gdzie w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca spotykają się starzy bywalcy z tamtych lat. Dziewczyny tańczą jak wtedy, ale chłopaki nieco gorzej, choć figury, tak zwane przejścia, pamiętamy. W Stodole na Trębackiej zaczynali też muzycy z grupy Tajfuny – polscy The Shadows grający tam do tańca, co wieczór. Gastronomia stodołana to piwko i kanapki.

Hybrydy to inna bajka – wszyscy w garniturkach, ozdobieni cieniutkimi krawatami. Elegancki język, silna obstawa bramki tak jak i w Stodole zresztą. Na tych „bramkach” stali aktualni sportowcy lub byli zapaśnicy, bokserzy czy też ciężarowcy jak bracia Jurek i Felek Kapłan, moi koledzy z Lotnika.

Wróć jednak do źródła, czyli do szkoły średniej, bo to tam rodziły się nasze idee jak ułożyć sobie życie. Zacząłem blisko domu na ulicy Karowej w Liceum im. Czackiego. Tam chodziłem do ósmej i dziewiątej klasy, ale wyrzucono mnie stamtąd po bójce z kolegą. Wyrok – znajdź sobie szkołę i spadaj. No i znalazłem – Liceum im. Dobiszewskiego na ul. Dolnej. Tam spotkałem w klasie dziesiątej m.in. Wojtkę Gąssowskiego i kilku innych kolegów – synów ówczesnych polityków. Przyjaźń z Wojtkiem trwa do dzisiaj, a łączy nas miłość do muzyki lat 50-tych i 60-tych, do sportu, ale i sentyment do naszych dziewczyn z tamtych lat. Teraz spotykamy się we środy na Szlaku, czyli na Krakowskim Przedmieściu i Nowym Świecie. Jest o czym gadać ze starymi kumplami. Innym klubem towarzysko sportowym była odkryta pływalnia klubu Legia przy ulicy Łazienkowskiej. Była tam pętla trolejbusów nr 56, a na basenie tym spotykała się cała śmietanka sportowo-towarzyska całej Warszawy, pytanie

tylko – kto tam nie bywał? Pływalnia ta miała wymiary olimpijskie, czyli 50 metrów długości. Była też 10-cio metrowa wieża do skoków, która służyła nam jako punkt obserwacyjny z widokiem na solarium damskie, gdzie opalały się naprawdę piękne dziewczyny, a my, chłopaki leżeliśmy tam plackiem, aby nie zobaczył nas basenowy Gruby Kazio, który co jakiś czas wdrapywał się na platformę i moką szmatą zmuszał nas do skoku z wieży na „bombę”.

Zabawa w berka służyła nam jako rozluźnienie emocji, biegało się więc dookoła basenu, ale narożnik należało pokonać skacząc do wody. Było to nie tylko zabawne, ale i wyczerpujące.

Wróćmy jednak do klubu towarzyskiego jakim była łączka obok basenu i betonowa płyta przy murku. Bywali tam sportowcy, aktorzy, ludzie kultury, nawet politycy, czyli decydenci. Choć nazwisk nie wymienię, to kusi mnie by wspomnieć jednak o Danielu Olbrychskim, reżyserze Marku Piwowskim lub Januszu Nasfeterze – znanemu twórcy filmów dla dzieci, ale i dorosłych.

W tym miejscu przypomina mi się pewna zabawna sytuacja. Przyjechałem któregoś razu na Legię samochodem razem z kolegą „Karolem”, czyli Romkiem, z którym trenowałem „fajery” w Skrze i zatrzasnęliśmy ubrania i kluczyki w bagażniku samochodu. Karol w samych majtkach na basen wsiadł w trolejbus, który jechał ul. Górnośląską do MDM, tam z kolei wsiadł w tramwaj jadący na Puławską i zameldował się u mojej żony Ewy, prosząc o zapasowe klucze do auta. Wyobraźmy sobie jej minę widząc Karola w samych slipach. A co z Andrzejem? Po chwili wszystko się wyjaśniło, a Karol – Roman wrócił na Legię i otworzyliśmy bagażnik! Potem pływanie, opalanie i gadki na wszystkie tematy. Zdawałem wówczas maturę, a między egzaminami wpadałem na basen. Polski napisałem na 5, ale na matematyce kolega z tyłu podał mi ściągawkę. Siedziałem w pierwszym rzędzie, a cała wysoka komisja miała mnie jak na dłoni. I tak padłem na tej pierwszej w moim życiu maturze. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. Czekaając na poprawkę zacząłem pracować w Bibliotece Pedagogicznej w Al. Jerozolimskich, róg Nowego Świata. Ileż książek się tam naczytałem! Nawet rosyjskich, zdradzających sekrety magicznych sztuczek cyrkowych. Muszę przyznać, że był to uniwersytet dla mnie. Podeszedłem do matury drugi raz i nawet matmę zdałem na 5, choć przyznam, że dzięki pomocy kolegi taty z chóru Harfa. Zacząłem już nieco wcześniej zastanawiać się jakie studia wybrać, ale jako sportowiec oczywiście pierwszą myślą było AWF, czyli Akademia Wychowania Fizycznego imienia Józefa Piłsudskiego, wówczas imienia Świerczewskiego. Na szczęście moja uczelnia wróciła do imienia swego założyciela. Egzamin wstępny był trudny, bo najpierw było badanie zdrowia, następnie zadania fizyczne i intelektualne. W międzyczasie rozważałem też zdanie na ekonomię polityczną na UW w Warszawie, ale z tego w końcu zrezygnowałem. Ci ludzie, którzy tam

studiowali walczyć teraz dalej w polskiej polityce i chcą wprowadzić tę ekonomię, zapominając, że świat obrócił się o 180 stopni.

Muszę jednak powrócić do czasów liceum. Tuż przed maturą ukazał się wcześniej wspomniany artykuł na mój temat w miesięczniku „Sport dla Wszystkich” prowadzonym przez świętej pamięci Stanisława Zakrzewskiego. Było tam piękne zdjęcie i tytuł „Kulturysta Przyszłości”, które wykonał Jan Rozmarynowski – kumpel do dzisiaj i Henryk Jasiak nieżyjący już, który ten tekst napisał. Jakimś cudem dyrektorka mego liceum przeczytała ten artykuł i wezwała mnie na rozmowę. Chciała nawet wezwać moich rodziców, których i tak nikt nigdy nie zobaczył w żadnej szkole. Po prostu chciałem oszczędzić im stresu, i tak znali mnie na co dzień. Stałem się więc niechcący lub chcący celebrytą, co nie mieściło się w głowie mojej „dyry”. Liceum nasze było koedukacyjne. Jednak po ekscesach damsko – męskich naszą 11-tą klasę zamieniono na męską, a dziewczyny przenieśli do klasy z chłopakami chyba mniej męskimi, jak myślała dyra. Jednak na lekcjach angielskiego wciąż spotykaliśmy się z naszymi dziewczynami. Boże, jakie one były szczęśliwe widząc swoich idoli. Wojtek Gąssowski śpiewał, a nauczycielka tłumaczyła mu teksty z miesięcznika Down Beat, aby mógł poznać słowa piosenek.

Przyszedł czas na drugą maturę, którą zdałem celująco. Bardzo przydał mi się ten rok w bibliotece, w czasie którego odczytałem się na wiele lat. Hurra! W końcu mogę składać dokumenty na AWF. W późniejszym czasie, podczas mojej wędrówki po świecie poznałem wiele uczelni i śmiało mogę stwierdzić, że nasza Akademia jest jedną z najwszechstronniejszych. Wykłada przedmioty ścisłe, humanistyczne, a nawet medyczne. Praktykuje się prawie wszystkie dyscypliny sportu, a także turystykę zarówno w teorii, jak i w praktyce. Kiedy studiowałem odbywało się też szkolenie wojskowe. W każdą środę ubieraliśmy się w mundury, a wykłady z wiedzy wojennej miały zapaść nam w pamięć. W tym czasie studentki zaś ćwiczyły pomoc medyczną w roli sanitariuszek. Co więcej, ćwiczyliśmy zwiad, strzelanie na dalszych terenach Bemowa i na uczeni zajęcia z teorii walki – wprost mówiąc wojny. Tu było wesoło, bo wykładali oficerowie jeszcze z historią wojenną. Poziom intelektualny tych oficerów był jednak żenujący, choć humorystyczny. Do historii przeszło powiedzenie „kwadratowy sznurek”, które padło na jednym z wykładów. W lecie szkolono nas w jednostkach wojskowych w całym kraju. Jako bardzo sprawnych fizycznie przygotowano nas do służby w jednostkach specjalnych, tzn. spadochroniarzy, pławonurków i zwiadowców. Ja trafiłem do pławonurków – pływanie było przecież moim pierwszym sportem. W Gdyni były także wodne silosy, a w Międzyzdrojach ćwiczyliśmy skoki do wody z helikoptera i z kutra torpedowego, oczywiście z dwoma ciężkimi butlami

ze sprężonym powietrzem. Odbywaliśmy wędrówki kajakowe, rowerowe, piesze, obozy wojskowe w jednostkach zawodowych i tam właśnie najpierw w Bartoszycach, po szkoleniu ogólnowojskowym, potem w Gdyni w centrum szkolenia pływonurków, a na koniec w Międzyzdrojach w jednostce bojowej ćwiczyliśmy nurkowanie, skoki z helikoptera do wody i skoki z rufy kutra torpedowego na pełnej szybkości do morza. Podczas tych skoków zerwało nam dwie butle ze sprężonym powietrzem, które mieliśmy na plecach, uderzając nas w głowę. W jednostce w Bartoszycach odbyliśmy podstawowe szkolenie wojskowe i tam złożyliśmy przysięgę wojskową, której głównym zdaniem była przysięga na wierność Związkowi Radzieckiemu. My, studenci AWF tego zdania nie powiedzieliśmy, ale chłopcy z przymusowego naboru wówczas raczej tak.

W lecie zaś byliśmy przez miesiąc w jednostkach wojskowych różnej specjalności – ja byłem pływonurkiem bazy w Gdyni i Międzyzdrojach. Zdać jednak na AWF nie jest łatwo. Najpierw przeprowadzane są szczegółowe badania lekarskie, więc już na tym etapie odpada duża część kandydatów. Potem przechodzi się sprawdzian sprawnościowy, czyli testy z podstawowych dyscyplin sportu jak lekka atletyka, gry sportowe czy pływanie. Na koniec intelekt, czyli pisemny sprawdzian z polskiego, języka obcego, biologii lub fizyki. Hurra! Dostałem się na wybraną sobie uczelnię i mogłem po jej skończeniu być trenerem, nauczycielem wychowania fizycznego lub biologii, fizjoterapeutą, jak i specjalistą turystyki. W programie uczelni poza klasycznymi dyscyplinami sportu są też takie jak muzyka, śpiew, tańce, filozofia, anatomia, pedagogika, fizjologia, rehabilitacja, języki obce – to te najważniejsze. Jaka uczelnia kształci tak wszechstronnie? Przecież są to greckie wzory klasycznego kształcenia młodych ludzi.

Po uczelni tej dostałem nawet stopień kaprała podchorążego, a potem podporucznika. Oczywiście dla mnie najważniejszym był tytuł magistra wychowania fizycznego. Studiowali ze mną obecnie znani: Maryla Rodowicz lub Edward Skorek – siatkarz – Mistrz Olimpijski i Świata. Spotykamy się wszyscy na zjazdach absolwentów.

Studia te były najintensywniejszym okresem pracy w moim życiu. Po zajęciach chodziłem jeszcze na treningi podnoszenia ciężarów, a na ostatnim, czyli czwartym roku zacząłem prowadzić zajęcia z juniorami WKS Lotnik. Kiedy skończyłem studia i obroniłem pracę magisterską, podjąłem pracę w szkole jako nauczyciel WF-u i kontynuowałem treningi z chłopcami z „Lotnika”. Kiedy zacząłem odnosić sukcesy z tą grupą ciężarowców na poziomie krajowym zainteresował się mną Polski Związek Podnoszenia Ciężarów. W 1969 roku odbywały się w Polsce Mistrzostwa Świata i Europy w podnoszeniu ciężarów, a było to na hali Torwaru w Warszawie. Opiekowałem się wówczas ekipą USA.

Po mistrzostwach, PZPC zaproponował mi pracę. Propozycję przyjąłem i tak zaczęła się moja kariera międzynarodowa. Jako trener kadry juniorów miałem możliwość wyjazdów na Mistrzostwa Świata, Europy, turnieje i mecze międzypaństwowe na całym świecie. Wcześniej jedynym moim wyjazdem był w 1968r. wyjazd do NRD – Berlina z drużyną „Lotnika”, gdzie dostałem ataku wyrostka robaczkowego. Wróciliśmy do kraju pociągiem i w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej przeszedłem operację. Moja drużyna juniorów była bardzo silna, wygrywała wszystkie mecze z krajami naszego „obozu socjalistycznego”, a także ze Skandynawami, RFN i Francją.

W latach 70. wyjazdy naszej reprezentacji juniorów ograniczały się głównie do tzw. krajów Demokracji Ludowej. Czasem zdarzał się nam wyjazd z Francją, Szwecją, Finlandią lub Norwegią. Mieliśmy też kontakty z reprezentacją NRF – wówczas taki skrót miały Niemcy Zachodnie. Zasadniczo wygrywaliśmy wszystkie mecze i turnieje. Potwierdziło się to na pierwszych Mistrzostwach Świata Juniorów w Marsylii w 1975 r. Zdobyliśmy tam dwa złote medale – jeden z nich zdobył Robert Skolimowski – późniejszy ojciec Kamili Skolimowskiej, Mistrzyni Olimpijskiej w rzucie młotem. Obok funkcji trenera kadry juniorów pełniłem też bardzo ważne stanowisko kierownika wyszkolenia Polskiego Związku Podnoszenia Ciężarów już od roku 1973. Zacząłem więcej wyjeżdżać za granicę, bo dołączyłem też do kadry seniorów.

Wspomnieć tu należy o pewnej rewolucji sprzętowej – od początków lat 70. zaczęto zastanawiać się, jak zmniejszyć hałas na treningach i zawodach powodowanych przez metalowe pierścienie nakładane na sztangę i potem spadającą na pomost. Pierścienie więc ogumiono i w 1972 roku na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium po raz 1. zastosowano sztangę z ogumionymi pierścieniami. Prowadziłem wiele kursów instruktorskich i trenerskich w kraju i za granicą. Obywały się one w Teresinie, w ośrodku ludowych zespołów sportowych (LZS) i co roku miałem wielu uczestników, chcących przede wszystkim zostać instruktorami lub trenerami. Ja sam kształciłem się dalej, i tak z trenera II klasy po AWF stałem się trenerem klasy I, a potem po ponownych kursach i egzaminach na AWF – trenerem klasy mistrzowskiej. Wtedy także zapraszano mnie zagranicę i tak, w 1977 roku poprowadziłem kurs w Tunezji, a w roku 1978 w Kairze, stolicy Egiptu. Kurs w Tunezji miał miejsce w Akademii Wychowania Fizycznego w Tunisie, a uczestniczyło w nim wielu adeptów z całego kraju. Takie kursy to zawsze zajęcia teoretyczne i praktyczne w siłowni. W Tunezji przydał się mój, mimo że słaby, język francuski; w Egipcie zaś musiałem wykładać po angielsku. Byli tam chłopcy z całej Afryki, nie tylko Egipcjanie, ale też ci z głębokiej (tzw. czarnej) Afryki, m.in. Nigerii.

Kurs w Kairze odbywał się w czasie Świąt Bożego Narodzenia. Mieszkałem w hotelu Cairo El Borg (po arabsku wieża), na wyspie na Nilu. Pewnego dnia powiedziano mi, abym ubrał się elegancko, bo odbędę wycieczkę po Kairze i parę spotkań z VIP-ami. Pod hotel podjechał chłopak na motocyklu powiązanym drutami i sznurkami i powiedział: „let's go for sun trip”. Siadłem na tylnym siedzeniu w garniturze i płaszczu przeciwdeszczowym i pięknie wyglądała ta nasza jazda.

Chyba najciekawszym i najmiłszym wspomnieniem był wyjazd na Mistrzostwa Europy do Verony w 1974 roku. Zawody były bardzo zacięte, ale Związek Radziecki (wówczas ZSRR) był nie do pokonania. Nasza reprezentacja uporała się jednak z Bułgarami i tak zdobyliśmy II miejsce w punktacji drużynowej. Dźwigaliśmy obok Arena di Verona wyglądającej jak rzymskie Koloseum obok domów Julii i Romea, czyli rodów Capulettich i Montecchi. Robiliśmy też piękne wyjazdy nad Lago di Garda. W 1972 r. na Kongresie Międzynarodowej Federacji Podnoszenia Ciężarów (IWF) w Monachium, zmieniono zasadniczo przepisy. W miejsce trójbój olimpijskiego, w skład którego wchodziło wyciskanie, rwanie i podrzut, powstał dwubój, a więc tylko rwanie i podrzut. O zwycięstwie w zawodach decyduje suma najlepszych wyników po 3 próbach w rwaniu i 3 próbach w podrzucie. I tak też jest do dzisiaj. Dość często zmienia się ilość i limity ciężaru ciała w poszczególnych kategoriach wagowych. W roku 1980 odbyły się Igrzyska Olimpijskie w Moskwie. Zbojkotowane przez większość państw zachodnich jako protest na inwazję Związku Radzieckiego na Afganistan. Byłem kierownikiem polskiej drużyny ciężarowców i Igrzyska te wypadły dla nas bardzo dobrze. Wkrótce dostałem propozycję z Polskiej Federacji Sportu na kontrakt w Meksyku lub Grecji. Taką samą propozycję dostał nasz trener seniorów Klemens Roguski. Zdecydowaliśmy między sobą, że Klemens pojedzie do Grecji, a ja do Meksyku. I tak w maju 1981 roku rozpoczęła się moja wielka podróż przez świat i wielka przygoda. Opuszczałem na nieznany nikomu czas nie tylko kraj, ale także rodzinę i pracę, dzięki której właśnie, dostałem możliwość zobaczenia tak dalekiego świata.

W dorobku zawodowym zostawiłem wiele medali zdobytych przez naszych zawodników oraz wielu wykształconych instruktorów na kursach prowadzonych przeze mnie. Zostawiłem też po sobie bardzo ważny dorobek w postaci 8 filmów szkoleniowych o moim sporcie. Takie od A do Z dla trenerów, zawodników i działaczy. Filmy te dostały nagrody na festiwalach Filmów Dokumentalnych, z czego jestem bardzo dumny do dziś – jako autor scenariuszy, scenopisów i komentarzy, a SPORT FILM był producentem tegoż.

W czasie mojej pracy w PZPC przez kilkanaście lat pisałem wraz z redaktorem Mieczysławem Szykiem biuletyn informacyjno-szkoleniowy, który rozsyłany był do wszystkich Okręgowych

Związków Podnoszenia Ciężarów, a one dalej, do klubów. I tak cała rodzina ciężarowców w Polsce знаła bieżące wyniki, nowości ze świata i inne nasze informacje. Tutaj pisząc o informacji wydawniczej wspomnieć muszę redaktora Jerzego Jankiewicza, który od 1973 roku aż do lat 90-tych pisał o naszym sporcie w gazecie „Przegląd Sportowy” informującej i propagującej nasz sport od lat 20-tych zeszłego wieku.

Powiedzieć muszę, że w kontrakcie tym w Meksyku maczali palce: Prezes ówczesnej Federacji Sportu – była to gałąź GKFiT (Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki) – Stefan Paszczyk oraz Prezes PZPC – Janusz Przedpełski. Do samolotu wsiedliśmy we trójkę, czyli Jacek Zglinicki – trener piłki ręcznej, Walenty Wejman – trener lekkoatletyki, trener tyczki i Władzia Kozakiewicza – mistrza olimpijskiego z Moskwy; oraz ja, ten od fajer, jak nazywali nas trenerzy innych dyscyplin. W Paryżu mieliśmy przesiadkę i po 10 godzinach lotu wylądowaliśmy w stolicy Stanów Zjednoczonych Meksyku, czyli Mexico albo Mechico City w stanie Distrito Federalnym (Mexico DF).

Pierwsze wrażenie to jakby brak tchu, krótszy oddech, a to dlatego, że miasto leży na wysokości 1800m. n.p.m. Wygląda, jakby było w dolinie, bo dookoła są góry wyższe o kilkaset metrów. Ogólnie więc mówiąc, jest to płaskowyż otoczony górami. Kiedy tereny te zdobywali konkwistadorzy, było to bagniste jezioro z wieloma wyspami; Państwo Azteków rządzone przez Moctezumę II. Po długich walkach garstka Hiszpanów pokonała Azteków i tak rozpoczął się podbój Mezoameryki, czyli Ameryki Środkowej. Dodać należy, że pomogła w tym córka Moctezumy – Isabel, która miała m.in. 3 mężów Hiszpanów, a z nimi 7 dzieci. Do dziś Meksykanie nazywają ją Malinche, czyli symbol zdrady – i do dziś zostało coś takiego w Meksykankach, że sympatyzują w obcokrajowcach. Znam to z autopsji (*haha*).

Zakwaterowano nas w CDOM, czyli Centro Deportivo Olimpico Mechicano, zbudowane na Igrzyska Olimpijskie w 1968 roku. Był tam stadion lekkoatletyczny Vélodrome, pływalnia kryta na 50m z wieżą do skoków i właśnie w tej konkurencji Meksykanie są w czołówce światowej. Na tym stadionie kolarz Francesco Moser ustanowił rekord świata w jeździe godzinnej na czas, a więc jako pierwszy pokonał barierę 50 kilometrów.

Było tam też wiele sal do gier i walki. Znaleźć można było także internaty, stołówki i inne obiekty niezbędne do funkcjonowania tak wielkiego obiektu. Umieszczono nas w pokojach na parterze żeńskiego internatu. Drzwi były tam żelazne, więc nazwaliśmy je celami. Dwa pokoje dwuosobowe połączone były łazienką i był to wtedy dla nas całkiem niezły standard. Nie mieliśmy oczywiście dostępu do strefy żeńskiej – no i dobrze. Mieszkały tam najlepsze sportswomenki z Meksyku, członkinie

kadr różnych sportów. Całego obiektu strzegła silnie uzbrojona straż, co dawało nam gwarancję bezpieczeństwa w tym dość wesołym, ale wojowniczym kraju, jaki znamy z filmów. Siłownia znajdowała się wewnątrz obiektu, więc do pracy miałem parę kroków. Do dyspozycji stawilo się kilkunastu chłopców z różnych prowincji – stanów Meksyku. Wprowadziłem tam system dwóch treningów dziennie i coś co w Polsce stosowaliśmy od dawna, dla nich było nowością. Mając tyle różnych obiektów obok siebie, mieliśmy możliwość prowadzenia także zajęć ogólnorozwojowych.

Od Igrzysk w 1968 roku w Meksyku pracowali dwaj polscy trenerzy lekkiej atletyki – Tadeusz Tempka – biegi średnie i Jerzy Hausleber – chód sportowy. W późniejszym czasie byli oni wychowawcami wielu medalistów olimpijskich. Ci dwaj trenerzy pomagali nam w pierwszych krokach, w poruszaniu się w nowym świecie. Pomagali nam również w nauce języka hiszpańskiego. Tak więc rozkręcaliśmy się zarówno w pracy zawodowej, jak i prywatnej dość szybko. Adaptacja i aklimatyzacja przychodziły powoli. Sen, oddech, samopoczucie. Trwało to kilka tygodni, ale udało się. Straciłem sporo kilogramów co przyszło mi na zdrowie. Chłopcy nasi ćwiczyli z zapalem, bo trener tak dalekiego i nieznanego dla nich kraju a tym bardziej chrześcijanin – był nowością i ta wiara katolicka pomogła nam się zbratać. I to trzeba przyznać – przecież zaufanie sobie nawzajem jest największą wartością między trenerem a zawodnikiem. Zacząłem też poznawać ludzi w pracy, w towarzystwie, na ulicy. Ciekawe społeczeństwo, kompletna mieszanka Indian – potomków Azteków, Metysów, czyli mieszanka Indian i Białych; i całkiem biali imigranci z Europy – Hiszpanie, Włosi, Francuzi, a nawet Polacy. Należy dodać, że w latach II wojny światowej do Meksyku przybił statek z polskimi sierotami, głównie dziewczętami, które zostały osiedlone najpierw w porcie Veracruz, a później dalej – w całym Meksyku. Dziewczeta te stały się żonami znanych i cenionych Meksykanów i stworzyły Polską organizację – Polonia Meksykańska.

Zawodnicy moi trenowali sumiennie, więc zaczęliśmy odnosić sukcesy na zawodach w Ameryce Środkowej – były Igrzyska Panamerykańskie w Wenezueli w roku 1983 i w Ameryce Północnej, USA, Teksasie czy Kalifornii. Trenowaliśmy też w Colorado Springs w ośrodku przygotowań olimpijskich wszystkich amerykańskich kadr sportowych. Ośrodek ten powstał na terenie dawnej bazy Amerykańskich sił powietrznych, infrastruktura była wówczas spartańska, sypialnie wieloosobowe, łazienki wspólne, ale stołówka już bardzo nowoczesna. Ciepłe posiłki wydawano w kuchni, a zimne wybierało się samemu z szaf chłodniczych. Tam nauczyłem się jeść surowego kalafiora i różne jarzyny. Jako ciekawostkę podam, że polskie ośrodki sportowe przejęły również tę modę, tylko nie podają lodów jak tam. Bazę wojsk lotniczych Amerykanie zbudowali obok, a dowództwo całego lotniska USA

umieszczono w jaskiniach – w ścianie Pikes Peak, który jest elementem łańcucha gór skalistych. Jeździliśmy tam na zgrupowania i zawody. Zapamiętałem wtedy przed Igrzyskami Olimpijskimi w Los Angeles, trenującego tam Evander Holyfield późniejszego wielkiego mistrza boksu zawodowego, który pokonał Mike Tysona.

I tak dobrnęliśmy do Igrzysk Olimpijskich w 1984 roku w Los Angeles, czyli mieście aniołów. Wobec wysokich limitów wynikowych dla uczestnictwa w Igrzyskach z Meksyku zakwalifikował się tylko 1 mój zawodnik – Jose Garces w wadze do 90kg. W zawodach kwalifikacyjnych wyrwał on 160 kg i podrzucił 200 kg. Wynik 360 kg w dwuboju dał mu kwalifikację na Igrzyska Olimpijskie. Miałem jeszcze trzech zawodników, którzy byli blisko swoich limitów, ale nie zdołali osiągnąć ich przed ostateczną datą. Czekał mnie więc wyjazd na drugie moje Igrzyska Olimpijskie, tym razem nie z Polakami, ale z Meksykaninem. Ekipa meksykańska składała się z wielu zawodników z uwagi na to, że jechali do sąsiadów, a po drugie dlatego, że byli bardzo dobrzy w takich dyscyplinach, jak lekkoatletyka, czyli maraton, biegi długie, chód sportowy, skoki do wody i boks.

Los Angeles powitało nas piękną pogodą, ale i smogiem. Nie znałem wówczas tego zjawiska atmosferycznego, ale ten zapach powietrza do dziś pamiętam. Na Igrzyska nie przyjechali zawodnicy z krajów Demokracji Ludowej, ale Rumunia wyłamała się z tej reguły. Nasz Krajowy Komitet Olimpijski również przegłosował decyzję o tym, że i my się tam nie zjawimy. Decyzja ta złamała karierę wielu wówczas dobrym sportowcom, bo 8-letnia przerwa między Igrzyskami to zbyt dużo, aby mogli powalczyć w przyszłości o medal. Pretekstem było podobno bezpieczeństwo zawodników z krajów socjalistycznych. Prezes PZPC Janusz Przedpełski głosił, aby nie jechać, ale sam, jako sędzia pojechał tam – co za hipokryzja! Sowieci myśleli o tym, aby przysłać statek pasażerski, w którym mieliby mieszkać ich sportowcy, ale w końcu zrezygnowali z tego pomysłu i wciągnęli w ten bojkot inne kraje naszego obozu. I tak Rumuni i Chińczycy obłowili się medalami, a myśmy zaliczyli 0 w historii olimpiad i sportu.

Miasto Los Angeles przygotowało się na Igrzyska bardzo dobrze. Miasteczka olimpijskie dla uczestników umiejscowiono na terenach kampusów UCLA (University of California, Los Angeles) i USC (University of South Carolina). Zawody w podnoszeniu ciężarów odbyły się w kompleksie uniwersyteckim imienia Francisco Loyola – od nazwiska hiszpańskiego jezuitę, który założył tam misję w XVI wieku. Wszystkie obiekty otoczone były siatkami i płachtami uniemożliwiającymi widok tego, co dzieje się wewnątrz. W górze krążyły helikoptery, a w nocy latały z reflektorami penetrującymi każdy zakątek.

Kiedyś, gdy biegałem sobie po zmroku po wiosce olimpijskiej, chwycił mnie taki reflektor na chwilę, ale zobaczyli, że „obiekt” nie jest groźny. Mieszkaliśmy w internatach lub domach, które zajmowali w czasie studiów tamtejsi studenci. Stołówki i punkty żywienia były na każdym kroku. Transport bez zarzutu, ale przy wjeździe na każdy obiekt, auta i busy sprawdzane były elektronicznie od góry do dołu.

Ceremonia otwarcia odbyła się na tym samym stadionie, gdzie odbywały się Igrzyska w 1932 roku, a pamiętamy, że złoty medal w biegu na 10 km zdobył tam nasz legendarny Janusz Kusociński zamordowany przez Niemców w Palmirach 10 lat później. Na pewno wszystkim uczestnikom i kibicom zapadł w pamięci z tej ceremonii pierwszy lot człowieka z silnikiem odrzutowym w plecaku. Defilada reprezentacji sportowych była piękna, kolorowa i radosna, bo tak naprawdę były to pierwsze, nowoczesne igrzyska w porównaniu z tymi z Moskwy. Kiedy zaśpiewał Lionel Richie widownia wpadła w szal, a jego przebój „Hello” porwał wszystkich. Potem zaczęły się piękne zawody, jakich do wtedy nigdy nie widziałem. Zawody w podnoszeniu ciężarów zorganizowano bardzo oryginalnie. Rozgrzewka, czyli wstępne dźwiganie było w namiotach rozbitych na trawniku uniwersyteckim. Pamiętam wszędzie obecne mrówki. Sala zawodów obok była piękna i mój jedyny Meksykanin Jose trzymał już w ręku sztangę ważącą 200 kg, co dawało mu brązowy medal, choć nie podrzucił jej po wstaniu z przysiadu. Zajął 6. miejsce. Dla Meksykanów była to i tak wysoka pozycja; no a Polscy sztangiści przez politykę stracili historyczne igrzyska.

Tak więc z rocznego kontraktu mój związek z Meksykiem stał się wieloletni. Moja rodzina, która miała przyjechać zaraz po mnie, przyjechała prawie rok później z uwagi na fakt ogłoszenia stanu wojennego w Polsce. Jednak po roku, rodzina wyjechała i zostałem sam. Córcie moje skończyły tam drugą klasę szkoły podstawowej i pierwszą licealnej. Najciekawszym, ale i niebezpiecznym doświadczeniem w Meksyku były dość częste trzęsienia ziemi. Spotkały mnie one zarówno w stolicy, jak i w oddalonej od niej miejscowości Aguascalientes, tzn. gorące wody. Uczucie jest takie, jakby człowiek tracił równowagę, a jest to silna reakcja błędnika. Pierwszy odruch, jaki kieruje człowiekiem, to wybiec z budynku i stanąć na otwartej, wolnej przestrzeni. Czuje się wielki niepokój, czasem strach przed tym, co dalej będzie. Tylko tam doznałem tego uczucia i w innych krajach już tego typu przykre doświadczenie mnie nie spotkało. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak wolnym od kataklizmów krajem jest Polska – choć ironią jest, że kiedy byłem w Meksyku, w moim rodzimym kraju panował stan wojenny.

Poza treningami, zawodami na kontynencie amerykańskim, gdzie zdobywaliśmy wiele medali, prowadziłem też kursy dla trenerów i instruktorów, którzy przyjeżdżali do miasta Meksyk w ramach ODEPA (Organización Deportiva Panamericana), czyli organizacji kształcących kadry trenerskie z Ameryki Łacińskiej. Bardzo przydały się mi wówczas moje filmy szkoleniowe, które przywiozłem z kraju. Przedłużany wielokrotnie roczny kontrakt w końcu dobiegł końca. Stało się to na Mistrzostwach Świata Juniorów 1985 w Sztokholmie. Wróciłem więc do kraju na swoje stanowisko kierownika wyszkolenia PZPC, które opuściłem w 1981r. Było to możliwe, ponieważ kontrakt mój był państwowy, firmowany przez Polservis, a dzięki płaconym podatkom w kraju, miałem prawo kontynuowania pracy w dawnym miejscu. Dzięki pobytowi w Meksyku nauczyłem się języka hiszpańskiego. W tym czasie IWF (International Weightlifting Federation – Międzynarodowa Federacja Podnoszenia Ciężarów) działało w porozumieniu z MKO – Międzynarodowym Komitetem Olimpijskim. Jego funduszem Solidarności Olimpijskiej zaczęto wysyłać mnie na kursy do krajów hiszpańskojęzycznych. Poprowadziłem więc taki kurs w Wenezueli, Hondurasie, powtórnie w Meksyku i w Republice Dominikany, na wyspie Haiti. Były to dla mnie wspaniałe doświadczenia, w których brało udział wielu uczestników, a co najważniejsze, nastąpił rozwój naszej dyscypliny w tak odległych zakątkach świata. W 1988 roku odbyły się Igrzyska Olimpijskie w Seulu, sukcesów w podnoszeniu ciężarów nie odnieśliśmy tam poza brązowym medalem Sławomira Zawady w kategorii do 90 kg. IWF wiele razy zmieniała limity kategorii wagowych oraz ich ilość – od 7 do 10; i w końcu mamy ich teraz 8. Powodowane to było głównie tym, że rekordy świata zostały bardzo wyśrubowane przez zawodników, którzy później okazali się dopingowanymi. Po zmianie kategorii, rekordy te skasowano i notowano wszystko od nowa. I tak, sport nasz został skażony plagą dopingu. Ważnym wydarzeniem było także dopuszczenie do naszej dyscypliny sportu udziału kobiet – w 1987 r. odbyły się pierwsze Mistrzostwa Świata Pań – the most memorable day in Florida – pamiętny dzień na Florydzie.

Doping był właściwie problemem, który pojawił się dużo wcześniej, ale do walki z nim nie przykładano takiej wagi. Kontrole zawodników stawały się coraz częstsze, a aparatura i metody badań próbek coraz dokładniejsze. Polskim ciężarowcom zdarzały się przeróżne wpadki, a nawet kiedyś jeden z nich musiał oddać złoty medal olimpijski. Nie chcę jednak wymieniać jego nazwiska, gdyż i tak porządnie się wycierpiał za swój „wyczyn”. Pod koniec lat 80-tych poprowadziłem też kurs instruktorski w Hondurasie. Kurs i wyjazd ten zapamiętałem na długo, bo w drodze do tego kraju przydarzyło mi się wiele przygód, niekoniecznie przyjemnych.

Lecąc do Ameryki Środkowej z Europy, wylądowałem najpierw w San Jose, stolicy Kostaryki, skąd nie chciano mnie wypuścić, bo nie miałem wizy zarówno tam, jak i w Hondurasie. Linie lotnicze płać za wysokie kary, jeśli przewiozą pasażera bez odpowiednich dokumentów. Tak więc przedstawiciele KLM starali się, jak mogli, pomagając mi, aby nie zapłacić tejsze kary. W końcu przedstawiciele komitetów obu państw dogadali się i rzeczywiście stwierdzono, że jestem zaproszony na prowadzenie kursu. Poleciałem więc do miasta San Pedro Sula w Hondurasie, a stamtąd do stolicy tego kraju, Tegucigalpa i znowu problem! Okazało się bowiem, że kurs odbywa się właśnie w San Pedro i tak wykonałem kolejny lot, po to, by w końcu znaleźć się tam, gdzie trzeba. Na szczęście doloty i dojazdy na inne kursy odbywały się planowo. Tak na przykład stało się z kursem w Belgii, gdzie prowadziłem zajęcia w kilku miastach i na uniwersytecie Leuven. Bardzo pomogły mi w wykładach moje filmy szkoleniowe, które stanowiły doskonałą ilustrację tego, o czym mówiłem. Zresztą, filmy pomagały mi też czasem w przełamywaniu barier językowych, jako że uczestnicy prezentowali różny poziom wykształcenia i pochodzili z różnych krajów – nie zawsze z tego, w którym odbywał się kurs.

Po 20 latach mojej pracy w Związku nadszedł czas na rozpoczęcie nowego etapu w pracy i karierze zawodowej. Skorzystałem z propozycji klubu RKS Stocznowiec, aby zostać tam trenerem i menadżerem sekcji podnoszenia ciężarów. Sekcja ta posiadała dużą i piękną salę przeznaczoną do treningów i zawodów w naszym sporcie. Po pewnym czasie zaczęły się konflikty między naszą sekcją a dyrekcją klubu. Nasi działacze i ja postanowiliśmy oderwać sekcję noszenia ciężarów od klubu Stocznowiec i zarejestrować ją w Urzędzie Miejskim pod nazwą Atletą, którą sam wymyśliłem jako najbardziej pasującą do naszego sportu. Odnosiliśmy sukcesy na poziomie krajowym, ale żeby zacząć odnosić sukcesy międzynarodowe, potrzebowaliśmy więcej czasu.

Tymczasem IWF przysłał mi zaproszenie na prowadzenie w ramach programu Solidarności Olimpijskiej kursu trenerskiego w Brazylii. Nie namyślając się długo, skorzystałem z tej wielkiej okazji. Na mistrzostwach Świata w Donaueschingen tuż przed wyjazdem do Ameryki Południowej, czyli w roku 1991 rozmawiałem z prezesem Federacji Urugwaju Podnoszenia Ciężarów na temat stałego kontraktu z tamtejszą kadrą. A więc gra była o dużą stawkę, bo po paru tygodniowym kursie w Brazylii mogłem udać się do ich sąsiadów, czyli Urugwajczyków. Najpierw jednak czekał mnie długi lot do Rio de Janeiro, a potem do San Paulo, gdzie czekali na mnie organizatorzy kursu z miasta Campinas. Pierwsze wrażenia z Brazylii to zarówno wspaniałe widoki Rio z samolotu, jak i gigantycznego San Paulo. W drodze do Campinas zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, gdzie

poczułem wszechobecny, silny zapach alkoholu. Okazało się, że Brazylijczycy już prawie 30 lat temu produkowali biopaliwo w postaci alkoholu z trzciny cukrowej.

Po kursie w tym mniejszym mieście wróciłem do San Paulo, gdzie w wielkich klubach jak Hebrajca i Palmeiras (zresztą w Brazylii wszystko jest wielkie, jak mówią Brazylijczycy: tak wielkie, jak ich kraj, „największy na świecie”) powtarzałem kursy podnoszenia ciężarów. W czasie pobytu w Brazylii Komitet Olimpijski Urugwaju potwierdził chęć współpracy ze mną i prowadzenia tam kadry ciężarowców. Była to późna jesień roku 1991.

Z San Paulo poleciałem więc do Montevideo, stolicy Urugwaju. Przypominam, że byliśmy na półkuli południowej, więc była to pełnia lata! Montevideo leży nad Rio de La Plata, 130 km od wybrzeża Atlantyku. Rio de La Plata tworzą dwie rzeki: Parana i Urugwaj, które spotykają się niedaleko Buenos Aires, a więc bardziej na zachód i razem wpadają do oceanu. Dodam, że Buenos Aires leży po południowej, a Montevideo po północnej stronie Rio de la Plaza. I oba miasta dzieli niewiele ponad 100 km odległości. Montevideo jest średniej wielkości miastem ze starą zabudową, przypomina stary Madryt i Paryż razem wzięte. Od lat niezmienna jest tam liczba mieszkańców, zawsze ponad 3 miliony. A w samej stolicy mieszka ich prawie 1,5 miliona. Powierzchnia kraju to ponad połowa powierzchni Polski, a co za tym idzie, kraj ten jest bardzo słabo zaludniony. Znajduje się tam więcej bydła i owiec niż mieszkańców. W sumie Stolica i kraj są bardzo przyjazne dla przybyszów z dalekich stron, takich, z jakich i ja przybyłem.

Jeśli chodzi o mój sport, to zdziwiłem się, kiedy zobaczyłem, że trenują tam też kobiety, choć były to zaledwie 4 lata od wejścia ich do naszej dyscypliny sportu na świecie. Bazą treningową były obiekty starego stadionu, który był miejscem I Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej w 1930 roku. Siłownia była skromna, ale służyła mimo to do rozgrywania zawodów. Praca moja była ciekawa zarówno dla nich, jak i dla mnie, bo po raz pierwszy trenowałem i chłopaków i dziewczyny. Dla nich było to o tyle ciekawe, że trener przybył z Europy i był dla nich na pewno innym doświadczeniem. Dzięki 5-letniemu pobytowi w latach 80-tych w Meksyku, posługiwałem się sprawnie językiem hiszpańskim, więc problemów z porozumieniem się między nami nie było. Charaktery i temperamenty mieli oni jako Latynosi, podobne do Meksykanów, w związku z czym współpraca układała się bardzo dobrze. Bardzo pomagała tu wiara katolicka – przecież oni też byli chrześcijanami, więc byłem „swój”. Zakwaterowano mnie w hoteliku przy stadionie, gdzie mieszkali młodzi piłkarze z różnych departamentów – prowincji Urugwaju, powołani do szkoły klubu National Montevideo, który miał siedzibę właśnie na tym stadionie. Idąc za tym przykładem, Związek Ciężarów założył też w tym

miejscu ośrodek treningowy w obliczu zbliżających się Igrzysk Olimpijskich w 1992 w Barcelonie. Dołączyli do mojej grupy dwaj zawodnicy z Brazylii i po 1 z Argentyny i Peru. Grupą kilku zawodników z Urugwaju i tych kilku sąsiednich krajów zaczęliśmy przygotowania do Barcelony. Dziewczeta nie miały jeszcze wtedy prawa udziału w Igrzyskach Olimpijskich, choć startowały już w zawodach krajowych, kontynentalnych i światowych. „Barcelona, Barcelona”, jak śpiewali na otwarcie Freddy Mercury i Montserrat Caballe – w Barcelonie były moje trzecie Igrzyska. Wioska olimpijska zbudowana została obok plaży Wybrzeża Morza Śródziemnego, a po Igrzyskach miało to być osiedle mieszkaniowe ze wszystkimi dogodnościami dla mieszkańców. Widocznym z daleka symbolem wioski były 2 wieże – stalowe wieżowce, które zbudowali Sylwester Stallone i Arnold Schwarzenegger – co za spółka! (nie tylko zrobili te wieżowce, ale też i Hard Rock Café). W wiosce spotkaliśmy polską ekipę, a w niej trenera Marka Gołęba – szefa ciężarowców, Ryśka Szewczyka – trenera ciężarowców i Janusza Koszewskiego – trenera lekkoatletyki – tego, który pomógł Władziowi Komarowi zdobyć złoty medal olimpijski w pchnięciu kulą w 1972 roku. Moi zawodnicy startowali w grupach B, a więc tam, gdzie de facto nie było walki o medale tylko o miejsca. Sprawozdawca Telewizji Polskiej, redaktor Krzysztof Miklas poprosił mnie o komentarz na żywo do transmisji startu najlepszych zawodników w każdej grupie wagowej. Sumując, były to najradośniejsze i bardzo piękne Igrzyska Olimpijskie, w których brałem udział. Startowała rekordowa liczba krajów w atmosferze przyjaźni i radości, choć było to w rok po upadku Muru Berlińskiego. Polscy ciężarowcy zdobyli 3 medale, a moi Latynosczy ciężarowcy uplasowali się w II dziesiątce. Po powrocie do Urugwaju rozpoczęliśmy prace z zawodnikami i zawodniczkami, przygotowując się do zawodów na kontynencie południowoamerykańskim, a później dopiero szukając konfrontacji na innych kontynentach. W roku 1993 mieliśmy Mistrzostwa Świata Ameryki Południowej, a w 1994 turnieje międzynarodowe i mecze pomiędzy krajami tego kontynentu. W rok później Igrzyska Panamerykańskie, czyli mistrzostwa obu Ameryk miały odbyć się w Argentynie w mieście Mar Del Plata – jest to miejscowość 300 km na południe od Buenos Aires, kąpielisko nad brzegiem Atlantyku. I właśnie w tym roku dostałem propozycję pracy z kadrą Argentyny, aby przygotować ich drużynę do igrzysk Panamerykańskich. Argentyna dysponowała wtedy ośrodkiem przygotowań olimpijskich zlokalizowanym wspólnie z Akademią Wychowania Fizycznego obok słynnego stadionu piłkarskiego Klubu River Plate, zwanego Estadio Monumental. Znajdowały się tam obiekty sportowe, internaty, stołówki, a sportowcy byli rekrutowani z całej Argentyny z podstawowych dyscyplin sportu. Część z nich studiowała na AWF, część pracowała, ale wszyscy znajdowali czas na dwa treningi codziennie. Były też dziewczyny

bardziej zaawansowane niż Urugwajki. Grupa liczyła około dwudziestu ciężarowców i praca wrzała (i chłopaków i dziewczyn). Argentyńczycy są bardzo emocjonalni, impulsywni i waleczni, podobni zresztą do Meksykanów i Urugwajczyków. Na pewno są ludźmi bardziej ekspresywnymi od Polaków. Moja tym razem Argentyńska ekipa zdobyła na tych Igrzyskach 1 złoty, 2 srebrne i 3 brązowe medale.

Tymczasem zbliżał się I Kongres Unii Stowarzyszeń Organizacji Polskich z Ameryki Łacińskiej USOPAŁ – którego główny założyciel i organizator, Jan Kobylański, zaproponował mi stanowisko Dyrektora Kongresu. Ponieważ pan Kobylański miał swoją rezydencję w Urugwaju, wróciłem do Montevideo, aby zacząć tam organizować ów Pierwszy Kongres. Równolegle kontynuowałem pracę z kadrą Urugwaju, która czyniła postępy tak, że mogła uczestniczyć w coraz ważniejszych zawodach. Kongres zaś miał wielki zasięg, bo byli to Polacy zorganizowani w różnych związkach polonijnych od Meksyku do Chile i Argentyny. Jan Kobylański finansował wszystko – przeloty, zakwaterowanie, wyżywienie, przemieszczanie się wszystkich uczestników, sale konferencyjne i wiele innych. Było to zorganizowane na wielką skalę. Kongres rozpoczął się w Buenos Aires z udziałem Prezydenta tego kraju, którym był wówczas Carlos Saul Menem. Celem Kongresu było zjednoczenie wszystkich polskich organizacji w obu Amerykach tak, aby mówiły „jednym głosem” w stosunku do kraju macierzystego reprezentowanego wówczas przez Organizację Polonia; kierowaną tu, w kraju przez Marszałka Senatu – Andrzeja Stelmachowskiego, później przekształconą na Wspólnotę Polską. Po obradach w Argentynie przenieśliśmy się do Urugwaju i tam, w Punta del Este i Montevideo trwały dalsze obrady. Właśnie w Punta del Este zaszczycił nasz kongres Prezydent Urugwaju – Senior Luis Alberto Lacalle, dzięki czemu Kongres Polonii był bardzo ważnym wydarzeniem także dla władz w krajach, w których się odbywał. Pan Jan Kobylański ustanowił polskie domy w Montevideo i Buenos Aires i tam właśnie, w Montevideo, ufundował Polski kościół, gdzie odprawiali msze polscy misjonarze i jezuici. Po Igrzyskach Panamerykańskich i Kongresie Polonii pojechałem z Argentyńczykami do Chin na Mistrzostwa Świata w mieście Guangzhou, dawniej Kanton. Po locie z Buenos Aires do Miami, a potem przez całe południowe Stany do LA, wystartowaliśmy do Hongkongu. Przelecieliśmy cały Pacyfik w poprzek na południowy zachód. Tam dwustumetrowy bieg na następny lot do Cantonu w Guangzhou, miasta położonego nad Perłową Rzeką, która uchodzi do Morza Południowochińskiego w Hongkongu. Bagaze oczywiście początkowo nie doleciały, ale dzień później przysłano je nam do hotelu związane łańcuchami.

Tam spotkałem polską ekipę i po raz pierwszy na Mistrzostwach Świata na żywo zobaczyłem piękną ekipę Amerykanek.

Wyżywienie było bardzo zróżnicowane, dość ciekawe, tyle że nigdy nie było wiadomo, co naprawdę jest jego zawartością.

Po Kongresie wróciłem do pracy z kadrą Urugwaju, ale jednocześnie podjąłem pracę w firmie eksportującej do Polski mięso wołowe na hamburgery i ryby. Pracę tę polecił mi ówczesny Polski Ambasador, Ryszard Schnepf i jego radca handlowy. Mieli oni znaleźć kontakty z producentami Urugwajskimi do współpracy handlowej między naszymi krajami.

Komitety Olimpijskie Urugwaju nie zdecydował się na wysłanie reprezentacji na Igrzyska Olimpijskie do Atlanty w USA. Startowaliśmy więc tylko w Mistrzostwach Ameryki Południowej, zawodach Panamerykańskich i turniejach drużynowych w Ameryce Południowej, Centralnej i Północnej. W roku 1997 IWF w ramach Solidarności Olimpijskiej oddelegował mnie do prowadzenia kursu na wyspie Samoa na południowym Pacyfiku. Ale frajda! Taki kraj i taki wspaniały lot. Najpierw poleciałem z Montevideo do Buenos Aires, potem liniami Aerolineas Argentinas odbyłem bardzo długi lot Jumbo Jetem na południe ponad Antarktydą, aby następnie wylądować w Auckland w Nowej Zelandii. Stamtąd miałem przed sobą jeszcze kilkugodzinny lot nad Pacyfikiem, żeby w końcu znaleźć się na pięknej wyspie Samoa. Wyspa ta jest co prawda nieduża, ale bogata w roślinność i bardzo egzotyczna. Ludzie są mili i zawsze uśmiechnięci. Sala sportowa, gdzie odbył się kurs, została zbudowana i подарowana Samoańczykom przez Chińczyków. Co ciekawe, wyspa ta urzędowo była jeszcze pod protektorem wysokiego komisarza Nowej Zelandii.

W kursie uczestniczyli nie tylko zawodnicy z Samoa, ale i z pobliskich wysp Archipelagu Polinezji. Odbyły się też zawody, które zwieńczyły kurs. Ludzie mieszkają tam pod wiatami, a w domach nie ma ścian. Jest za to porządek i spokój, bo cisza nocna na całej wyspie obowiązuje od godziny 21.00. Podziw mój wzbudziły występy grupy tanecznej – folklor południowego Pacyfiku, a także pokazy tańców z ogniem. Warto wspomnieć, że znajduje się na tej wyspie, na samotnym wzgórzu, grób pisarza Richarda Stevensona, autora książek przygodowych, m.in. „Wyspy Skarbów”.

Parlament tej wyspy to duży drewniany budynek, a właściwie wielka wiata. Dodam też, że obok wyspy Samoa znajduje się wyspa Samoa Zachodnia należąca do Stanów Zjednoczonych.

Skończyła się piękna przygoda i wróciłem do Urugwaju, gdzie czekało na mnie zaproszenie do Arabii Saudyjskiej na kontrakt z tamtejszym Komitetem Olimpijskim na pracę z kadrą ciężarowców. Nie mogłem niestety pojechać, bo właśnie urodziła mi się córka Victoria i nie chciałem zostawiać żony samej z tak małym dzieckiem w Montevideo. Tam, w Arabii Saudyjskiej pracował wówczas Zygmunt Smalcerz, nasz były Mistrz Olimpijski z Monachium z 1972r. W końcu, po roku, kiedy

córeczka nieco podrosła, poleciałem do Rijadu, stolicy Arabii Saudyjskiej – a właściwie Królestwa Arabii Saudyjskiej. No i to był dla mnie prawdziwy szok, mimo że do tej pory widziałem już wiele krajów. Na lotnisku wewnątrz budynku znajdowały się palmy, sadzawki i fontanny. Zaraz potem przeszedłem ścisłą kontrolę celną głównie w poszukiwaniu narkotyków i alkoholu. Przyjechał po mnie przedstawiciel Federacji, człowiek na stanowisku Dyrektora Sportowego lub po naszymu: Szefa Szkolenia. Zakwaterowano mnie w luksusowym hotelu, a wkrótce pojechaliśmy do Dammam, ośrodka wydobywania ropy naftowej nad Zatoką Arabską. Tutaj dodam, że Arabowie nazywają tę Zatokę Arabską, a my Perską.

I tam zacząłem poznawać zwyczaje Saudów. Pierwsze co rzuca się w oczy to tradycyjny strój, czyli długa suknia z długimi, białymi jak od piżamy spodniami pod nią. Na głowie duża chusta w białą czerwoną szachownicę, którą przytrzymuje duży gruby skręt z czarnego plastiku, a na nogach sandały. Z daleka wszyscy są jednakowi. (ich sąsiedzi z maleńkiego Kataru noszą chusty na głowie w kolorze białym). Druga rzecz to publiczna modlitwa pięć razy dziennie. Przerywają wtedy wszystkie czynności, prywatne i zawodowe. W moim przypadku przerywać musiałem trening, a nawet zawody. W życiu publicznym objawia się to gaszeniem światła w marketach oraz zamknięciem kas, tak, że klienci muszą czekać w środku w półmroku z wózkami pełnymi zakupów. Nawet jadących w tym czasie taksówkarzy, chłopcy rzucają kamieniami. Obok każdego większego publicznego miejsca jest sala modlitwy wyłożona dywanami, a także miejsce do ablucji rąk i nóg przed modłami.

Meczetory większe czy mniejsze wewnątrz są bardzo skromne, nie ma żadnych symboli, figur czy obrazów. Jeśli są witraże to tylko z motywami geometrycznymi, tzw. arabeski, roślinnymi lub zwierzęcymi, ale to też raczej tylko ptaki. Absolutna większość muzułmańskiej Arabii to Sunnici i Wahabici, surowe odłamy islamu. Ich kobiety chodzą w czarnych abajach – sukniach, włosy obowiązkowo zakryte czarną chustą i jeśli mąż sobie tego życzy, kobieta musi zakryć również całą twarz. Wówczas jeszcze nie mogły prowadzić samochodu, a nawet jechać samotnie taksówką – w każdej podróży musiał towarzyszyć jej mężczyzna z rodziny, choćby to był jej wnuk.

Po powrocie do Rijadu rozpoczęliśmy treningi z kadrą zawodników pochodzących z różnych rejonów tego wielkiego kraju, ponad sześciokrotnie większego od Polski. Ludność około 30 milionów, z czego 90% to Arabowie, a pozostałe 10% to Afro-Arabowie. Trzeba też powiedzieć o dużej grupie, na pewno kilkuset tysięcznej, pracowników najemnych głównie z Azji Południowo-Wschodniej, wykonujących pracę, których nie chcą wykonywać Saudyjczycy. Ludzie ci oczywiście nie mają obywatelstwa i nigdy go nie uzyskają.

Nasz ośrodek znajdował się na terenie młodzieżowego hostelu, gdzie były wszelkie warunki do zamieszkania, nauki i oczywiście treningu sportowego. Moja sala była obszerna z dziesięcioma pomostami treningowymi, z możliwością rozgrywania zawodów. Była też duża, otwarta pływalnia, więc kiedy chłopcy modlili się w meczeciku obok, siedziałem przy basenie, czekając na nich, ale żeby popływać musiałem ze spodni od dresu zrobić szorty zakrywające kolana. Ja zamieszkałem w domu naprzeciw ośrodka w niedużym mieszkaniu. Często lataliśmy na zawody krajowe, a odległości są tak duże, że trzeba było korzystać z samolotu. Śmiesznie wyglądało, kiedy widziało się podróżującą Saudyjkę pod opieką syna lub wnuczka. Można powiedzieć, że była pod opieką fizyczną i prawną (sprawdzano bowiem relacje między nimi, żeby mogli wsiąść do samolotu). Podróżowaliśmy też na zawody lub zgrupowania do Królestwa Jordanii, Syrii, w której stolicy – Damaszku przeżyliśmy pełne zaćmienie słońca. Moi zawodnicy bali się wyjść z hotelu, ja zaś robiłem zdjęcia na pustych ulicach. Muszę przyznać, że mój roczny pobyt w Rijadzie był pełen zaskakujących przeżyć. Na jednym z placów w starej części miasta wykonywano wyroki śmierci przez ścięcie głowy mieczem. Ofiarami byli najczęściej przestępcy pochodzący z Indii, Pakistanu czy Bangladeszu. Kiedyś zniknął mi na jakiś czas jeden z zawodników, a po kilku dniach przyszedł na trening i powiedział nam, że zatrzymała go policja za niebezpieczną jazdę samochodem i zamknęła go w komisariacie, gdzie co dzień (i to przez kilka dni) dostawał chłostę. Wykonywała ją specjalna maszyna wymyślona do tego celu.

Kiedy przyleciała do mnie moja żona z dwuletnią córeczką, musiałem jej zawieść na lotnisko czarną, długą, arabską abaję oraz chustę na głowę, tak zwany hidżab. Nawet cudzoziemki, żony pracujących dla Saudyjczyków ludzi zachodu, takich jak ja, musiały to nosić. W weekendy robiliśmy sobie pikniki w górach i lasach za miastem przy piwie bezalkoholowym. Panie co prawda przyjeżdżały w czarnych sukniach, ale chwilę później naraz, jak na sygnał, ściągały je i zostawały w kostiumach kąpielowych ku zaskoczeniu nas, mężczyzn.

Podczas mojego pobytu, w Rijadzie otworzono polską ambasadę i muszę przyznać, że miło było popatrzeć na białą-czerwoną flagę w tak odległym i różniącym się od naszego, kraju. W Arabii istniała też muzułmańska ludność odłamu Szyickiego. Pochodzili oni z Dammamu właśnie nad Zatoką i stamtąd też przyjeżdżała większość moich najlepszych zawodników. Po drugiej stronie Zatoki leży Iran, gdzie dominuje właśnie wiara szyicka. Różni się ona tym od sunnickiej, że w przeciwieństwie do niej uznaje za świętych całą rodzinę i następców proroka Mahometa. Wystawiają nawet ich podobizny. Sunnici z kolei skupiają się jedynie na Bogu Allahu i jego Proroku Mahomecie.

Po roku pracy w Arabii mieliśmy się nawzajem dość. Było mi trudno znieść ich rygory, tym bardziej że byłem z rodziną. Oni pewnie też mieli mnie dość za mimowolne łamanie ich reguł. Zdaliśmy sobie sprawę, że najlepszym trenerem dla nich będzie ktoś pochodzący z kraju muzułmańskiego. I tak się stało, jak się później okazało. Kończąc roczny kontrakt w Arabii, za pośrednictwem IWF rozpocząłem rozmowy z ich sąsiadami, małym Katar. Muszę jednak pochwalić się, że wraz z Saudyjczykami zdobyliśmy wiele medali na Mistrzostwach Świata Azji i krajów Arabskich. To ułatwiało mi rozmowy z Katar. i po dwumiesięcznej przerwie od zakończenia kontraktu, czyli w grudniu '99 i styczniu 2000r. przeczekałem z rodziną w Urugwaju, a 1 lutego 2000r. znalazłem się w stolicy Kataru – Doha.

ANDRZEJ SKIBA

MOJE ŻYCIE – CZĘŚĆ DRUGA

W pierwszej części opisałem historię naszej rodziny i na jej tle moją. Tekst ten obejmował lata końca XIX wieku i cały wiek XX, a kończył się moim przybyciem do państwa Kataru w roku 2000. Piszę o tamtym tekście w czasie przeszłym, jako że ostatnie zdania tegoż napisałem 15 lat temu.

Tak więc cały luty ostatniego roku XX wieku spędziłem w hotelu w stolicy Kataru – Doha nad zatoką Arabską – jak mówią Arabowie, a nie Perską, jak mówimy my. Oczekiwanie w hotelu trwało chyba miesiąc, bo formalności było sporo. Chodziło o wizę zezwalającą na pracę, kontakt z Komitetem Olimpijskim Kataru i zakwaterowanie, czyli dom dla mnie i żony Lilian-Betty oraz córeczki Victorii. One miały dołączyć do mnie po kilku miesiącach, a mieszkaliśmy wówczas w Montevideo w Urugwaju. Viki miała wtedy dokładnie trzy latka. Czekać na załatwienie wszystkich formalności, już w hotelu poznawałem ludzi, z którymi przyjdzie mi pracować – pracownicy Komitetu, Związku, a także trenerzy, którzy przyjechali tu z innych krajów na kontrakty tak, jak ja. Z Polski przyjechał trener łucznictwa, sam niegdyś bardzo dobry łucznik, Bogdan Stuligłowa. On był już nawet kilka tygodni przede mną, ale formalności szły mu jak po grudzie, bo nie znał angielskiego. Tłumaczyłem mu nawet jak się mówi i pisze takie słowa jak "łuk" i "strzała" – nie mówiąc już o trudniejszych tekstach. Jak on się tam znalazł, Bóg jeden wie. Mnie jednak przekonał, że znał się na swoim fachu i szybko się zaadoptował. Właściwie to z nim utrzymywałem najbliższe kontakty zawodowe i towarzyskie, choć mieszkał w mieszkaniu w innej dzielnicy.

Pierwszą ważną sprawą było zaaklimatyzować się, aby móc funkcjonować w tak wysokich temperaturach – prawie zawsze ponad 40 stopni w cieniu. Oczywiście wszystkie pomieszczenia i samochody były silnie klimatyzowane, ale przecież trzeba było czasem przejść też jakiś dystans na otwartej przestrzeni. Inni mieszkańcy hotelu to trenerzy różnych dyscyplin sportu z różnych krajów arabskich. To właściwie oni wprowadzali mnie w szczegóły pracy i w życie w Katarze. Opowiadali bardzo ciekawe historie ze swojego życia prywatnego i zawodowego. Spotykałem jednak w tym hotelu nie tylko ludzi ze świata sportu. Znalazł się tam też duchowny – Imam muzułmański z Egiptu, który chytrze robił mi wykłady z podstaw swojej wiary, starając się jednocześnie skłonić mnie do jej przyjęcia, na co oczywiście byłem przygotowany po doświadczeniach z Arabii Saudyjskiej. Bawiło mnie to, więc i ja zacząłem ze swej strony przekonywać go do naszej wiary.

Powoli zacząłem zapoznawać się z warunkami, w których przyjdzie mi pracować. Siłownia była bardzo duża, umiejscowiona pod trybunami największego stadionu w Doha – stadionu Khalifa. Zawodnicy mieli być „dostarczani” przez wojsko i policję. Miała być to więc praca od zera.

Katar to mały Emirat, mały półwysep wyrastający z wielkiego Półwyspu Arabskiego, na którym leży głównie Arabia Saudyjska, a stosunkowo niewielkie terytorium na jego południu zajmuje Jemen nad Oceanem Indyjskim. Na obrzeżach, od wschodu znajduje się też Oman i Zjednoczone Emiraty Arabskie od południa. Półwysep, na którym znajduje się Katar ma sto kilometrów długości i pięćdziesiąt kilometrów szerokości. W 2000 roku na jego terytorium mieszkało około 1 miliona ludności z tym że rdzennych Katarczyków, czyli obywateli z pełnymi prawami było około 200 tysięcy, natomiast 800 tysięcy stanowili przybysze z innych krajów arabskich, ale również z Indii i Pakistanu. Tu był już duży przemysł naftowy, to znaczy wydobywanie i rafineria. Na swoich płytkich wodach terytorialnych (Zatoki Arabskiej) odkryli bowiem gaz ziemny, który zaczęto eksploatować. Tak naprawdę to dopiero gaz uczynił w niedługim czasie z Kataru tak bogate państwo i silnego gracza na rynku międzynarodowym.

Katarski Związek Podnoszenia Ciężarów za pośrednictwem Komitetu Olimpijskiego postanowił wejść bardzo mocno na arenę naszego sportu. Zakupił więc od Bułgarii za milion dolarów całą drużynę ciężarowców, którzy zaczęli startować z katarskimi paszportami na wielkich zawodach. Otwarcie nastąpiło w 1999 roku na Mistrzostwach Świata w Atenach, gdzie Katarczycy-Bułgarscy zdobyli kilka medali zadziwiając nasz sportowy świat – nazwano to „katarsis”. Drużyna ta potwierdziła też „bułgarski” poziom na Igrzyskach Olimpijskich w Sydney w Australii w 2000 roku. Ja zaś zacząłem montować na miejscu ich własną drużynę, która miałaby startować na zawodach regionalnych i azjatyckich. Musiałem też ogłosić nabór, aby zapewnić sobie dopływ młodych chłopców i stworzyć drużyny juniorów. Związek zapewnił środki i okazał swą pomoc we wszystkim, co było niezbędne do rozpoczęcia pracy od podstaw. Chłopcy mieli nawet transport z domów na salę treningową. Robotę rozpocząłem więc „całą gębą”. W międzyczasie dostałem już willę na osiedlu (compound) zbudowanym dla pracowników z Francji, a teraz służącym nauczycielom i trenerom z różnych krajów pracujących tak jak ja dla różnych instytucji katarskich.

Willa była duża, z ogródkiem. Sąsiadami byli głównie Muzułmanie, ale nie wadziliśmy sobie nawzajem. Dom urządziłem wygodnie i wkrótce przyjechała Betty z Victorią. Tutaj Betty już nie musiała chodzić w abaji jak w Arabii Saudyjskiej ani zakrywać głowy czarną chustą. Viki z kolei poszła do przedszkola nieopodal prowadzonego przez Dunkę, żonę jakiegoś Katarczyka. Były tam

dzieci z różnych krajów, córeczki i synkowie pracowników będących na kontraktach. Językiem, który łączył te dzieci, był angielski, przez co Viki zaczęła swoją edukację lingwistyczną bardzo wcześnie, bo miała zaledwie trzy i pół roczku. Zaczęliśmy poznawać Polaków pracujących tam w różnych dziedzinach, ale głównie dla przemysłu petrochemicznego. Nie było jeszcze ambasady polskiej, więc nasze życie towarzyskie kwitło na cotygodniowych party, które urządzaliśmy na zmiany w różnych domach. W przeciwieństwie do Arabii Saudyjskiej można było kupić alkohol w specjalnym sklepie posiadającym licencję wystawioną przez władze, na podstawie pisma z pracy. Ja nie występowałem o takie, aby nie drażnić moich szefów opinią pijącego trenera.

Teraz opowiem trochę historii, aby przybliżyć nieco kraj, w którym pracowałem. Od wieków, aż do I wojny światowej Półwysep Arabski wraz z przyległościami był pod panowaniem Imperium Osmańskiego. Tereny te zamieszkiwali Beduini, czyli ludność koczownicza, zorganizowana w związki plemienne. Ich przywódcy wywodzili się z silniejszych i bogatszych rodzin – tzw. klanów. Państwa jako związki terytorialne i narodowościowe praktycznie nie istniały. Plemiona te walczyły ze sobą bez przerwy o terytorium, lepsze pastwiska, dostęp do wody, wielbłądy, i choć wymieniałem je na końcu, również o kobiety, które zapewniały przetrwanie plemienia, jego powiększanie się, a tym samym znaczenie plemienia. Po I wojnie światowej tereny Półwyspu Arabskiego, w związku z upadkiem Imperium Osmanów dostało się pod protektorat brytyjski. Związki plemienne powoli przekształcały się w państwa, państewka, prowincje kolonii brytyjskiej z Sułtanami, Królami czy Szejkami na czele. Niektóre mniejsze Państwa jak Syria, Tunezja, Algeria czy Liban dostały się pod protektorat francuski.

W latach 30-tych XX w. dokonano pierwszych odwiertów, a w roku 1938 w Arabii Saudyjskiej trysnęła ropa naftowa. To był daleki początek obecnego prosperity tego regionu. Bóg im wynagrodził długie lata spędzone na pustyni bez wody. Pisząc o pobycie i mojej pracy w Arabii Saudyjskiej na pewno o tym wspominałem. Ważne jest to teraz dlatego, że Katar znajduje się właśnie w tej grupie krajów, które w niesamowity sposób i zrządzenie losu skorzystały na tym, stając się obecnie krajem z największym przychodem (PKB) na mieszkańca. Teraz to gaz naturalny wydobywany z odwiertów na płytkich wodach terytorialnych Zatoki Arabskiej przynosi ogromne zyski. Gaz ten jest skraplany i wożony statkami do innych odbiorców na całym świecie. Te ogromne statki i zbiorniki są zamawiane przez Katar i budowane w stoczniach Korei Południowej. Wielcy odbiorcy to między innymi USA, Wielka Brytania, Włochy, Japonia, Korea. Są to wieloletnie kontrakty, które zapewniają Katarowi wielkie bogactwo i teraz i w przyszłości. Polska również podpisała umowy na dostawę gazu LNG z Katarom, choć niestety nie mogliśmy wówczas dokończyć terminalu przyjmującego go w Świnoujściu

i płaciliśmy z tego tytułu wysokie kary umowne, gdyż dostawy katarskie ciągle czekały. W końcu udało się ukończyć prace i otrzymaliśmy kilka katarskich dostaw. Sam osobiście byłem świadkiem negocjowania tej umowy w ambasadzie polskiej w Doha. Był Tusk, Borusewicz i Grad, którzy uściskali szejków, a następnie podzielili duży tort. My, pracownicy polscy napiliśmy się whiskey, zagryzając krewetkami. Przy okazji negocjowano też kupno jednej z polskich Stoczni, ale nic z tego nie wyszło. Ten Grad jest teraz dyrektorem projektu polskiej elektrowni, której nie ma i długo nie będzie, z pensją ponad sześćdziesięciu tysięcy złotych miesięcznie. Nic dziwnego, że nazywają ich teraz złodziejami, którzy rozkradli Polskę.

Wzorem Arabii Saudyjskiej zorganizowano również w Katarze konsulat, a potem ambasadę, która znajdowała się w willi na uboczu otoczonej wysokim murem. Ja zaś mając tylko nieduży płotek, posadziłem sobie drzewka i kwiatki na podwórkach z przodu i z tyłu domu, tak aby Viki mogła bawić się w ładnym otoczeniu. Nie bardzo wiedziałem jakie rośliny nadają się tylko do środka, a które na zewnątrz i trochę tych egzotycznych roślin mi padło. Posadziłem jakieś dziwne tuje i kiedy zaświeciło słońeczko, a temperatura osiągnęła 48 stopni, zaczęły schnąć. Okryłem je więc prześcieradłami, ale na nic się to zdało. Drzewka z małymi listkami, coś w rodzaju naszych osik trzymały się zaś twardo. Każdemu drzewku nadałem imię moich dziewczyn – kobiet. Po siedmiu latach od posadzenia trzymały się dzielnie, a kiedy skończyłem pierwszy kontrakt w 2005 roku, w rok później zajął go inny trener – Syryjczyk – i zapuścił te ogródki, choć drzewka były jeszcze wtedy żywe. Chciałem sobie trochę wynagrodzić sobie tę stratę ogrodu, więc mając nowe mieszkanie (tym razem na czwartym piętrze) zappełniłem je różnymi roślinami, które w zamkniętych pomieszczeniach miały się dobrze, a i ja do tego czasu nabrałem wiedzy na ich temat.

Swoją działalność w pracy rozwijałem bez przeszkód. Zgłaszało się coraz więcej młodych zawodników, a Związek zapewnił im ubiory treningowe, dojazdy na treningi i powroty tak jak i mnie zresztą. Przydzielono mi pomocnika, miejscowego asystenta, byłego kulturystę, jak też kierownika drużyny do spraw organizacyjnych. Dostawaliśmy nawet odżywki. Praca moja i drużyny odbywała się osobno i niezależnie od grupy bułgarskiej. Oni trenowali w Bułgarii z trenerem Abadżijewem, a do Doha przyjeżdżali po paszporty i dresy katarskie przed większymi zawodami, na których mieli startować. Kiedy Abadżijew był w Doha, stawiałem się jego tłumaczem, gdyż ten słynny trener nie znał języków poza bułgarskim i rosyjskim – my porozumiewaliśmy się właśnie po rusku. Jego brat Misza był masażystą w tej drużynie.

My z kolei zaczęliśmy wyjeżdżać na zawody regionalne i arabskie, najpierw na Półwyspie Arabskim, a potem dalej – Wybrzeże Morza Śródziemnego, Azjatyckie i Afrykańskie. W lecie, kiedy w Doha były największe upały, wyjeżdżaliśmy na zgrupowania do Syrii, Jordanii czy Bułgarii.

Jeśli chodzi o sport w ogóle, w Katarze przodowała piłka nożna – była na pierwszym miejscu. Rozwijała się na bazie miejscowych klubów, z których każdy należał do innego szejka, głównie z panującej rodziny Al Thani. W miarę bogacenia się zaczęli oni sprowadzać do Kataru zagranicznych zawodników, początkowo z krajów arabskich, a potem z całego świata (i to coraz droższych). Z czasem były to już prawdziwe gwiazdy, ale raczej takie u schyłku kariery. Oni ściągali na trybuny coraz więcej kibiców, a piłka nożna rozwijała się coraz prężniej. Podobnie było w innych sportach zespołowych jak piłka siatkowa, koszykowa czy ręczna. Zaczęto rozwijać też lekką atletykę i budować stadiony oraz hale. Organizowano coraz więcej zawodów w wielu dyscyplinach, coraz większych, zabiegając o nie na całym świecie i promując w ten sposób swój kraj. Ściągano coraz więcej trenerów z całego świata, a do niektórych dyscyplin zaczęto dopuszczać kobiety. Tak więc sport rozwijał się coraz bardziej, a to pośrednio za tym, że szefem Komitetu Olimpijskiego został syn Emira Kataru. Inny syn był natomiast następcą tronu. Wszyscy oni ukończyli wyższe szkoły wojskowe w Europie, a każdy z synów pochodził z jednej z czterech oficjalnych żon Emira. Pewnego dnia oficjalny następca został usunięty w cień, zaś następcą tronu został szef Komitetu Olimpijskiego, który zresztą od trzech lat jest Emirem Kataru. Na sport zaczęły więc płynąć poważne pieniądze, bo to Komitet ustanawia budżety i przeznacza pieniądze na poszczególne Związki Sportowe. Nawet kontrakty wszystkich trenerów były podpisywane z Komitetem, a nie z Federacją. Taka centralizacja miała dobre strony w Katarze, bo z federalnymi różnie bywało – sam sport nie był jeszcze dostatecznie rozwinięty i nie miał takich tradycji i doświadczenia jak u nas.

Współczesna cywilizacja zaczęła się tam w końcu XX wieku. Spotykałem ludzi, którzy opowiadali jeszcze o czasach poławiaczy pereł i miejscowych siedzących w kucki na plaży czekających na przepływające tamtędy statki i kupujące ewentualnie ich połowy, za które płacili hinduskimi rupiami. Większość dzielnic w Doha nie miała wody ani kanalizacji. Cysterny dowoziły wodę, a ciężarówki zaopatrzenie. Jeden z moich asystentów – pomocnik pochodził z rodziny (klanu), tak licznej, że zajmowali całą dzielnicę – kwartał ulic. Czasem zapraszano mnie do domów. Jedliśmy wtedy na podłodze bez sztućców, oczywiście tylko w towarzystwie mężczyzn. Posiłki podawały dzieci z rodziny, kobiety zaś nie pokazywały się w ogóle. Zawsze na środku stała metrowa taca ryżu, na którym leżały kawałki gotowanej lub pieczonej baraniny, a do tego mnóstwo małych miseczek z sałatkami i

przeróżnymi dodatkami. Duży wpływ na kuchnię arabską ma kuchnia azjatycka, między innymi indyjska. Z Indiami są w dobrych stosunkach, choć nie tak jak dawniej. Katarczycy stali się dużo bogatsi od Hindusów, przez co nieco ich lekceważą. Zatrudniają kobiety jako pomoce domowe, a mężczyzn na niższych stanowiskach w różnych branżach. Z Indii przyjeżdżało najwięcej najemnych robotników, a wraz z nimi obyczaje, kuchnia, no i wymiana handlowa. Najchętniej sprowadzano Hindusów – wyznawców islamu, ale byli też Buddyści. Największy dopływ kobiet do pomocy w domach mieli Arabowie z Zatoki z Indonezji (same muzułmanki) i z Filipin – tu było już sporo chrześcijanek. Zresztą Indonezja jest do dziś najludniejszym krajem muzułmańskim, a Filipiny w Azji Południowo-Wschodniej chrześcijańskim. W Doha i w ogóle w całym kraju rozpoczęły się po 2000 roku ogromne budowy. Rozmach niektórych był ogromny, z dalekim spojrzeniem w przyszłość. Ściągano najlepszych architektów, inżynierów, budowniczych i przedsiębiorstwa budowlane z całego świata. Było to bardzo intensywne, podsyćane rywalizacją ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, Bahrajnem, Kuwejtem, no i oczywiście Arabią Saudyjską. W armii i policji na szeregowych stanowiskach zatrudniano Jemeńczyków – ludzi z najbiedniejszego kraju na Półwyspie Arabskim. Byli tu Pakistańczycy, a na coraz liczniejsze budowy ściągano siłę roboczą z Bangladeszu i Sri Lanki. Ci pracowali pracowali najciężej na powietrzu w temperaturze przekraczającej 40 stopni i wiejącym z pustymi piaskiem wietrze. Ukrywano rzeczywistą ilość wypadków, jako że była to niewykwalifikowana siła robocza. Coś takiego jak BHP nie istniało. Ludzie ci pracowali w zasadzie jak niewolnicy i w takich też warunkach żyli. To samo tyczy się kobiet – pomocy domowej, które pracowały 24 godziny bez opuszczania domów, praktycznie bez zapłaty na czas i jako tako godziwej. Często zdarzały się ucieczki od pracodawców do swoich ambasad, co nie było łatwe, ponieważ musiały się wykraść z otoczonych murami willi.

Młodzi chłopcy, synowie bogatych Katarczyków jeżdżą wspaniałymi samochodami, często nieseryjnymi, wartymi majątek. Dziewczeta z takich rodzin spacerują alejkami wielkich shopping mall'i pełnymi butików najlepszych marek. Kupują rzeczy z najwyższej półki, płacąc kartami kredytowymi tatusiów, a niekiedy już swoimi. Uczą się w najlepszych szkołach w Doha albo wyjeżdżają do Anglii czy Stanów, do tamtejszych College'ów bądź uniwersytetów. Wracają potem do kraju by pomagać w prowadzeniu firm swoich rodziców lub otwierają własne. Pracują jako lekarze w szpitalach albo zakładają swoje gabinety. Do tej pory w służbie zdrowia pracowali tylko lekarze z innych krajów arabskich lub z Indii i Pakistanu, a nawet z krajów zachodnich – to zależy od

specjalizacji w różnych dziedzinach medycyny. Obecnie Katar zaczął otwierać filie najlepszych Uniwersytetów na świecie tak, aby ich młodzież nie musiała wyjeżdżać z kraju w świat.

Raz w roku miałem możliwość podróży na wakacje; w moim przypadku do Urugwaju. Betty i Viki także mogły raz w roku skorzystać z takiego biletu. W 2002 roku Viki skończyła 5 lat i poszła do zerówki, ale już w Urugwaju i razem z mamą wyniosły się z Kataru na stałe. Zostałem sam, mając do towarzystwa po pracy jedynie kumpli Polaków tam pracujących. Poza trenerem łucznictwa kolegowałem się z inżynierem, który pracował dla Siemensu, instalując i serwisując agregaty medyczne w szpitalach. Byli też inni inżynierowie pracujący w petrochemii. Wśród mego towarzystwa znalazła się nawet moja dawna koleżanka, obecnie architekt, która mogła pochwalić się kilkoma okazałymi budynkami w Doha zbudowanymi według jej projektu. Pani ta nieco młodsza ode mnie okazała się być wychowana na Powiślu tak jak ja. Chodziliśmy razem do podstawówki.

W czasie pracy w Doha wyjeżdżałem często z moją drużyną na zawody. Najczęściej były to Syria, Jordania, Egipt, Liban, Algieria, no i oczywiście sąsiedzi z Zatoki, czyli Arabia Saudyjska, Kuwejt, Bahrajn i Zjednoczone Emiraty Arabskie – Dubaj, Abu Dhabi, czyli stolica Emiratów.

W roku 2004 miało miejsce wielkie wydarzenie rodzinne. Agnieszka wyszła za mąż za Yuksela Caglara, najporządniejszego Turka, jakiego zna świat. Yuksel urodził się w Bułgarii, gdzie wówczas mieszkała i żyła jego rodzina, ale po „rewolucji” tureckiej w Bułgarii ówczesny dyktator Todor Żiwkow otworzył granice i pozwolił rdzennym Turkom wrócić do ojczyzny. Yuksel zdobył na uniwersytecie w Stambule wykształcenie politechniczne i zaczął pracować jako inżynier w tureckiej firmie budującej z zasięgiem na całą Europę. Trafił więc do Warszawy, w której budował między innymi Arkadię. Agę poznał w jakimś klubie i tak rozpoczęła się ich znajomość, a potem narzeczeństwo. Aga miała wówczas swoje mieszkanie, w tym samym domu, w którym mieszkały z Ewą (moją dawną żoną). W Urzędzie Stanu Cywilnego na Placu Zamkowym wzięli ślub, a wesele odbyło się w jednym z lokali w Al. Jerozolimskich, gdzie Yuksel miał służbowe mieszkanie. Z naszej, czyli Agi strony była cała rodzina na czele z Ewą. Jak się okazało później, była to ostatnia wielka uroczystość z udziałem Ewy. Tańczyła na tym weselu pięknie, ciesząc się ze szczęścia swojej najmłodszej córki Agnieszki. Yuksel przypadł jej bardzo do gustu i pokochała go jak syna. Niestety chorowała i siedemnaście miesięcy później zmarła – w rzeczywistości zasnęła w Bogu. Panie, świeć nad Jej duszą!

Ze strony Yuksela pojawili się jego koledzy z pracy, głównie Turcy. Trudno przecież było jego rodzinie dotrzeć ze Stambułu na ślub i wesele w Warszawie. Ja niestety też nie dojechałem z Kataru,

ale niedługo potem odbyło się wesele tureckie w Istambule, na którym była cała rodzina Yuksel. Dotarłem tam też i ja, z Doha. Poleciałem do Stambułu przez Paryż, bo taki otrzymałem bilet z Air France-KLM za „wylatane w tej linii mile powietrzne”. Na lotnisku Roissy Charles de Gaulle kupiłem prezenty dla rodziny Yuksela i dość humorystycznie wyszło z prezentem, którym było whisky dla Mithata, czyli ojca Yuksela, który jest niepijącym w ogóle muzułmaninem (a tu nagle ja wyskakuję z wielką butlą scotcha). Na szczęście wykwintne słodycze francuskie – prezenty dla mamy Fatmy i siostry Frisun były trafione.

Wesele odbyło się w klubie tenisowym nad Bosforem. Wierząc, że nie będzie alkoholu, wypilem w barku parę kieliszków raki, czyli mocnej wódki tureckiej, do której dolewają wody, przez co robi się ona biała jak mleko. Razem z siostrą Yuksela witaliśmy gości przy wejściu do sali weselnej. Była to duża restauracja otoczona łóżami, posiadająca scenę, na której grał zespół muzyczny z dobrą wokalistką. Była to zarówno muzyka turecka, jak i międzynarodowa. Przy okrągłych stołach można było znaleźć wielu gości z rodziny oraz bliskich znajomych. Jedzenie było wspaniałe, oczywiście bez dodatku alkoholu. Najpierw Aga z Yukselem zatańczyli kilka standardów, a potem tańczyliśmy już wszyscy jak na dancingu w Europie. Wesele odbywało się po europejskiej stronie Bosforu. Potem nastąpiła ceremonia wręczania prezentów, głównie dolarów przypinanych do szarf nowożeńców. Nie mogłem jednak narzekać na brak alkoholu, bo Yuksel załatwił z kelnerami tak, aby dyskretnie podawali mi co chwila jakieś drinki. Zabawa była przednia, a po zakończonej kolacji weselnej i państwo młodzi pojechali na noc poślubną do pięknego hotelu z widokiem na Bosfor. Nazajutrz czekaliśmy na nich w domu rodzinnym z obiadem. Śmiesznym momentem dla mnie było liczenie przez nich rozsypanych na łóżku złotych monet, które dostali jako prezenty. Potem pojechaliliśmy na wycieczkę po mieście, przepłynęliśmy też promem na azjatycką stronę. Tam architektura jest już nieco inna, bardziej ludowa z wpływami i pozostałościami Imperium Osmańskiego. Po stronie europejskiej jest wiele budowli monumentalnych z tamtych czasów, między innymi Bakczysaraj – pałac chanów krymskich czy cerkiew Hagia Sofia, zamieniona przez Turków z wielkiej katedry na meczet po zdobytym Konstantynopolu w 1453 roku. Obok znajdują się też ogromne bizantyjskie zbiorniki wodne zbudowane jako magazyny na wypadek oblężeń miasta.

Można zatem powiedzieć, że małżeństwo mojej średniej córki, Agnieszki zostało przypieczętowane w dwu krajach i na dwu kontynentach. Młodzi zamieszkali razem w apartamencie wynajętym przez firmę Yuksela w Al. Jerozolimskich.

Przed powrotem do Kataru, postanowiłem jeszcze polecieć do Warszawy, w której odwiedziłem w towarzystwie mojego ojca, młodych w ich mieszkaniu. Warto dodać, że Aga i Yuksel polecili w podróż poślubną do Tajlandii – Bangkoku na jedną z tamtejszych „rajskich” wysp. Po tej pięknej podróży po Europie z tak pięknego i ważnego powodu wróciłem do Doha.

Treningi odbywały się dwa razy dziennie, a zawodnicy coraz bardziej się zniechęcali, widząc, że nie da się wyżyć z tego sportu, nie reprezentując bardzo wysokiego poziomu. Odchodzili więc służyć do wojska lub policji z marnym wykształceniem, jakie mieli. Mam tu na myśli synów Arabów z biedniejszych krajów, którzy przybyli do kraju przed laty dostając prawo pobytu, ale nie obywatelstwo. Moi zawodnicy też dostawali paszporty tylko na czas wyjazdu z Kataru na zawody, które oddawali zaraz po powrocie, a ściślej mówiąc – musieli to zrobić.

Na compoundzie w willi obok mojej mieszkał trener lekkiej atletyki, Tunezyjczyk, którego żoną była Polka. Poznał ją, kiedy był w Polsce na zgrupowaniu w Spale, ona mieszkała obok w Tomaszowie i też uprawiała lekkoatletykę – rzuty. Wzięli ślub, a ona pojechała z nim do Tunezji. Niewiele później zaczęli jeździć na kontrakty po całym świecie i w końcu trafili do Kataru. Mieli dwóch synów, też sportowców. Podziwiałem ją, że potrafiła nauczyć ich polskiego i kontynuować polskie obyczaje. Kiedyś pojechali do Polski, a następnie do Tunezji na długi urlop i zostawili mi psa – charta. Nie wyprowadzali go na spacer, bo w krajach muzułmańskich pies jest rzadkim zwierzęciem domowym i obiektem agresji. Ja jednak zacząłem wychodzić z nim w nocy, robiąc marszobieg dookoła dzielnicy, aż chart dostawał zadyszki – tak był zaniedbany ruchowo. Mali chłopcy obrzucali nas kamieniami i butelkami. Ale pies nie stracił jednak swojego instynktu łowcy i zadusił dwa koty. Kiedy właściciele przyjechali byli zdziwieni, że pies był w dużo lepszej formie niż przed ich wyjazdem.

Pilnując ich willi i psa przeczytałem po polsku całą Biblię – Stary i Nowy Testament, a parę lat wcześniej w Urugwaju po hiszpańsku.

Będąc w Katarze, w świecie muzułmańskim spotkałem się także z Igrzyskami Islamskimi. Tym razem odbywały się one w Arabii Saudyjskiej w Medynie. Poleciliśmy tam do Jeddah (Dżudda), byłej stolicy Arabii Saudyjskiej, a potem znad Morza Czerwonego pojechaliśmy do Medyny dziadowskim autobusem, który się popsuł i czekaliśmy parę godzin na inny. W końcu dotarliśmy do miasta grobu Mahometa. Kiedy zorientowano się, że nie jestem Muzułmaninem, zawieziono mnie do innego hotelu, gdzie byli też inni „niewierni” trenerzy z innych krajów, którzy pracowali z reprezentacjami krajów muzułmańskich – to byli sportowcy z Azji, Bliskiego Wschodu i Północnej Afryki. Warunki mieliśmy naprawdę bardzo dobre. Przyjeżdżano po mnie do hotelu, aby zabrać mnie na trening lub zawody. Nie

mogłem jednak wstępować do Haram, czyli strefy zabronionej. Na szczęście obiekty sportowe znajdowały się poza tą strefą. W drodze powrotnej do domu moi chłopcy postanowili odbyć pielgrzymkę do Mekki. Ogolili głowy, okryli gołe ciała prześcieradłami z odkrytym prawym ramieniem. Przed wjazdem do miasta (zamkniętego jak Medyna dla niewiernych) musiałem wysiąść z autobusu i przesiąść się do wynajętej taksówki, która zawiozła mnie na lotnisko odległe o kilkadziesiąt kilometrów w wymienionym już Jeddah. Tam czekałem na swoją drużynę. Po paru godzinach pojawili się na lotnisku pełni pielgrzymów, Muzułmanów z całego świata. Mieli ze sobą pojemniki z wodą ze świętego źródła, które tryskało Mahometowi za dotknięciem bambusowej laseczki. Kiedy wylądowaliśmy w Doha, woda z pojemniczków zamoczyła bagaże i to była moja pamiątka z podróży do Mekki i Medyny.

Pod koniec 2005 roku Federacja zawiadomiła mnie, że kończy ze mną kontrakt po ponad pięciu latach pracy. No i zaczął się wtedy korowód biurokratyczny, bowiem żeby wyjechać z Kataru trzeba otrzymać wizę wyjazdową, a do tego z kolei potrzebne są zaświadczenia z wielu instytucji, aby sprawdzić czy nie zalegasz z jakimiś zobowiązaniami. To trwa około dwóch tygodni. Po tym czasie opuściłem w końcu Doha i muszę przyznać, że z pewną ulgą. Pojechałem prosto do Montevideo, gdzie czekały na mnie żona Betty i córka Victoria. Nasz apartament znajdował się bardzo blisko Rambli nad Rio de La Plata i pałacyku Jana Kobylańskiego, polskiego milionera, tego który organizował Kongresy Polonii Ameryki Łacińskiej całkowicie za swoje pieniądze. A nam pieniądze się kończyły, bo ja nie miałem już wpływów, a Betty tylko kiepską emeryturę. Viki chodziła do prywatnej szkoły i trenowała pływanie w prywatnym klubie, ale było to możliwe wtedy, gdy pracowałem w Katarze. W związku z tym zacząłem szukać roboty na miejscu w Montevideo, ale w Urugwaju nie ma jej za dużo i kiepsko płacą. W domu atmosfera była coraz gorsza, bo przy braku pieniędzy na zapłacenie rachunków zaczęły się pojawiać problemy. W końcu doszło do takiej awantury, że przyszła policja, a ja musiałem wynieść się z domu. Tułałem się u kolegów Polaków, aż w końcu zamieszkałem w odbudowywanej willi. Wcześniej znałem Polskę z pochodzenia, działaczkę tamtejszej Polonii, z którą się umówiłem na jakąś fiestę i znalazłem się w jej domku. Mieszkała sama, więc było dość wygodnie. Wkrótce znalazła mi pracę w WCA (jest to żeńskie wydanie YMCA). Tam jej koleżanka – szefowa zaproponowała mi prowadzenie zajęć WF-u ze starszymi kobietami i dziećmi. Najciekawsze dla mnie było prowadzenie gimnastyki w wodzie z paniami lub pływanie z dziećmi. Płacili mi nieźle, więc mogłem utrzymać się na powierzchni. Tymczasem z Betty postanowiliśmy się rozejść. Sprzedaliśmy mieszkanie i

podzieliliśmy majątek na pół. Betty wynajęła inne mieszkanie i w dalszym ciągu oczywiście nie pracowała, więc mogła liczyć tylko na mnie, jak zawsze zresztą.

Ja natomiast pomogłem swojej partnerce wyremontować domek i kupić nowe meble. Jej syn mieszkał gdzie indziej i nie pomagał matce, choć był kawalerem. Zacząłem nawet prowadzić lekcje polskiego w polskim kościele, w którym cennym było spotkać Polaków zarówno na mszy niedzielnej, jak i po niej. Istniał także dom towarzystwa Piłsudskiego (prawica) i dom towarzystwa Mickiewicza (lewica), ale te dwie grupy rzadko się spotykały.

Z Betty spotykałem się, aby ustalić warunki procesu rozwodowego, do którego w końcu doszło. I nagle dostałem maila z Kataru – „Wracaj do pracy trenerze, czekamy”. Ta przerwa w kontrakcie kosztowała mnie dziesięć miesięcy różnych zdarzeń i zmian w moim życiu. Wreszcie w sierpniu 2006 roku Katarczycy przysłali mi bilet i mogłem wylecieć z Montevideo w Urugwaju przez Buenos Aires i Londyn do Doha w Katarze. Znowu byłem na „starych śmieciach”, przecież spędziłem tu ponad pięć lat na pierwszym kontrakcie. Teraz było łatwiej, bo na miejscu był już Yuksel, mąż Agnieszki, który budował tam nowe lotnisko ze swoją turecką firmą. Tak właściwie to bardzo wiele firm budowlanych z całego świata pracowało przy tym bardzo śmiałym projekcie, ponieważ pas startowy był na morzu. Yuksel miał już willę służbową i choć miałem hotel, zatrzymałem się u niego, czekając na służbowe mieszkanie. Wkrótce dołączyła do nas Aga z ośmiomiesięczną Vaneską, więc byłem przynajmniej z częścią rodziny, dzięki czemu nie czułem się taki samotny, bo w Montevideo została Victoria, a w Warszawie była jeszcze Ania z córką (moją najstarszą wnuczką Andreą).

Wkrótce dostałem piękne mieszkanie z czterema pokojami, dwiema łazienkami i częściowo wyposażoną kuchnią. Na resztę sprzętów otrzymałem pieniądze. Siłownię tym razem urządzono nam pod trybunami Stadionu Khalifa. Była bardzo przestronna i posiadała całe potrzebne nam zaplecze. Kupiłem, a ściślej mówiąc, odkupiłem od mojego pomocnika samochód, którym jeździłem poprzednio. Był to amerykański sześciocylindrowy Pontiac GT o pojemności 3.1 litra, automatic. I tak jeździłem między domem, siłownią i willą Agi, gdyż czas wolny spędzaliśmy razem. Wkrótce okazało się, że Aga jest w ciąży, co przyjąłem za bardzo radosną nowinę – będzie nas więcej!, a dziecko urodzi się w Katarze, na Półwyspie Arabskim. Co za zrzędzenie losu! Wszystko układało się pomyślnie.

Na compoundzie dla cudzoziemców (tymi cudzoziemcami byli pracownicy nowej stacji Al Dżazira ściągnięci z całego świata zachodniego), gdzie moja rodzina miała willę był basen, więc zacząłem oswajać z wodą Vaneskę. W pracy też miałem dobrze, bo jeździłem z moją grupą na zawody do krajów arabskich a na zgrupowania do Bułgarii. Kiedy byłem z jednym ze zgrupowań w Syrii, pojechaliśmy

do miejscowości Malula, gdzie był chrześcijański, a dokładniej – katolicki klasztor i kościół pod wezwaniem św. Katarzyny. Była to akurat Wielkanoc, więc miałem szczęście. Ludzie w tym skalnym miasteczku mówili po aramejsku, a więc w języku Jezusa Chrystusa – coś niesamowitego. W holu hotelu obok była nawet zagrodka dla piskląt wielkanocnych. Gdy modliłem się kościele na kolanach, chłopcy moi, Muzułmanie, obserwowali mnie z ciekawością, ale też z szacunkiem. W Syrii też na zgrupowaniu w Damaszku byłem świadkiem przekazu telewizyjnego z pogrzebu Jana Pawła II. Wtedy zawodnicy moi także patrzyli na mnie ze zrozumieniem i współczuciem.

Po jakimś czasie do Kataru przyjechał Ivan Abadzijew, aby trenować z grupą Bułgarów, którzy reprezentowali Katar na światowych zawodach. Po paru tygodniach treningów z nami zawodnicy ci wyjechali, ale słynny Ivan z bratem Michailem jako masażystą zostali. Stworzyłem dużą grupę zawodników miejscowych (choć różnych nacji) i trenowaliśmy razem. Abadzijew nie znał żadnych języków, więc rozmawiałem z nim po rosyjsku i tłumaczyłem jego słowa zawodnikom, ale już na angielski, bo tak porozumiewałem się z nimi ja. Ci z Indii, Sri Lanki, Bangladeszu czy Pakistanu nie mówili po arabsku. Było to z obopólną korzyścią, bo szlifowaliśmy nasz angielski. Ivan, choć świetnej sławy trener jedząc w restauracji szarpał łyżką kureczaka i choć oficer – o wojnie na Pacyfiku nie słyszał nigdy. Taki poziom prezentują Bułgarzy. Warto jednak wspomnieć o tym, że na obozach w Bułgarii było fajnie, bo moja ekipa była w innym świecie i wszystko ich bawiło. Szczególnie ciekawie było na obozie w górach Rodopy, no i w Sofii.

Wróć jeszcze do Syrii, gdzie podczas zgrupowania zwiedziliśmy starożytną Palmirę zniszczoną obecnie przez dżihadystów z ISIS. Co za barbarzyństwo!

W Jordanii zaś byliśmy nad Morzem Martwym leżącym czterysta metrów poniżej poziomu morza. Woda jest tak zasolona, że rzeczywiście można się położyć na jej powierzchni jak na łóżku. Do Jordanii po raz pierwszy przyjechały też na zawody dziewczyny – Arabki z innych krajów jak Egipt, Tunezja, Libia, Algieria czy Maroko – w Katarze o tym nie było mowy. Wcześniej dziewczyny widziałem na Igrzyskach Arabskich w Algierii.

Nie pamiętam czy wspominałem w pierwszej części mej powieści o Libanie. Byliśmy tam na zawodach arabskich w Bejrucie. Miasto jest piękne, stale odbudowywane po domowej wojnie religijnej za pieniądze ONZ-UNESCO. Dalej istnieje podział na dzielnice muzułmańskie i chrześcijańskie. Miasto leży między wybrzeżem Morza Śródziemnego a wznoszącymi się zaraz obok górami porastanymi przez herb Libanu, czyli cedry. W górach tych są nawet ośrodki narciarskie! Wsiada się do kolejki linowej w centrum miasta i jedzie się na szczyt, skąd roztacza się przepiękny widok na

lazurowe morze. Na szczycie jednej z gór jest kościół katolicki, w którym miałem okazję pomodlić się tak jak w Syrii. Byłem też w kościele w Bagdadzie, jeszcze przed drugą wojną Amerykańsko-Iracką. W owym czasie trafiliśmy na urodziny Saddama Husajna! Ludzie mieli trzy dni wolnego. Ja wziąłem taksówkę i zwiedziłem cały Bagdad z obu stron rzeki Tygrys. Miasto miało widoczne zniszczenia po pierwszej wojnie z Kuwejtem i Ameryką.

Przyznaję, że miałem naprawdę ciekawą pracę, która nie polegała tylko na treningach w siłowni, ale także na poznawaniu całkiem innego świata. We wszystkich tych krajach wyraźnie widać było wpływ kultury greckiej, rzymskiej lub obu na raz.

Tymczasem we wrześniu 2007 roku Aga urodziła w Doha drugą córeczkę Ewunię. Byłem szczęśliwy, bo mogłem bawić się już z dwiema wnuczkami. Miałem wpływ na ich wychowanie, a one odwdzięczały się dziadkowi miłością. Yuksel dużo pracował, ja zaś mając czas wolny po treningach, chodziłem z Agą i dziećmi w różne ciekawe miejsca w Doha, a później, kiedy podrosły odwoziłem je do przedszkola. Było to dla mnie wspaniałe. Victoria niestety nie mogła w tamtym czasie do mnie przylecieć, ale ja na szczęście nie czułem się aż tak samotny. W tym samym roku Viki wraz z Betty przeprowadziły się z Urugwaju do Hiszpanii. W Barcelonie mieszkała jej siostra Chola i łatwiej było im wystartować w nowym otoczeniu. Viki kończyła podstawówkę i kontynuowała tam trening pływacki, a potem karierę sportową. Tam też poszła do liceum katolickiego – wszystko to było częściowo odpłatne, ale trzeba było to zaakceptować, ponieważ państwowe szkoły były na kiepskim poziomie, no i pełne Arabów z Maroka. Co roku na wakacje przylatywałem do nich z Kataru do miasta Terrassa pod Barceloną, gdzie mieszkały. Piękne to były czasy.

Moja misja w Katarze dobiegała końca. Byłem tam już ponad jedenaście lat i obie strony miały siebie dosyć. Na koniec wspomnę jeszcze o Syryjczyku (w obliczu uchodźców z tego kraju), którego przydzielono mi do pomocy. Facet ten całe życie nie mył zębów, modlił się pięć razy dziennie bez względu na miejsce, zniszczył mi ogródek, miał wyłączone AC i mieszkał w upale. Widok kobiety białej przyprawiał go o zawał. I takich oto ludzi „Europejczycy” chcą nam wcisnąć do Polski. Byłem u niego w domu w Damaszku podczas naszej Wielkanocy. Jego żony i matki nie zobaczyłem, posiłki bowiem podawały przez szparę w drzwiach. Kiedy poprosiłem o jajko, poszedł na podwórko i wyciągnął je z kurnika.

W połowie (lub na jesień) 2011 roku rozwiązaliśmy umowę (na czas nieokreślony) za obopólną ugodą. Jak pisałem, rozliczenie się z nimi na koniec, to istna gehenna, która trwała prawie miesiąc. W ciągu ostatnich dwóch lat mojego pobytu w Doha byłem świadkiem powstania Akademii Wychowania

Fizycznego Aspire, gdzie powstała między innymi jedna z największych hal sportowych na świecie. Widziałem też piękny, kryty basen, gdzie podczas treningu pływaków zasłaniano kotarami szklane ściany. Jak grzyby po deszczu zaczęły też rosnąć niesamowite architektoniczne wieżowce.

W końcu wsiadłem w samolot i poleciałem do Europy. Aga i Yuksel z dziećmi wylecieli już wcześniej kilka miesięcy, bo Yuks także zakończył kontrakt. Poleciałem do Barcelony odwiedzić Viki i Betty (mieliśmy bowiem normalne kontakty). Byłem tam kilka tygodni, a następnie autobusem pojechałem do kraju. Nie miałem mieszkania i wylądowałem u Marii Przedpelskiej, wdowy po Prezesie, mojej przyjaciółki od 1969 roku i towarzyszkii pracy w PZPC do 1991 roku. Byłem z nią do maja 2012 roku, bo z pomocą IWF załatwiłem sobie jeszcze pracę w Gwatemali jako dyrektor sportowy z zadaniem zorganizowania tam Mistrzostw Świata Juniorów i Mistrzostw Panamerykańskich Seniorów jako eliminację do Igrzysk Olimpijskich w Londynie. W tym miejscu muszę jeszcze trochę opowiedzieć o Marii. Ta wspaniała osoba podczas mojego pobytu w Katarze załatwiła mi w 2009 roku na odległość emeryturę! Jestem i będę jej wdzięczny za to do końca życia.

W Gwatemali dali mi jakieś dziadowskie mieszkanie bez mebli, za to blisko Centrum Sportu i mojego biura oraz siłowni. Tak niebezpiecznego kraju jeszcze nie widziałem. Meksyk z lat osiemdziesiątych to oaza spokoju. Każdy kiosk, sklep, kino, centrum handlowe, restauracja są pilnowane przez uzbrojonych w strzelby mężczyzn, niekoniecznie mundurowych. Wszystko zakratowane, czasem słychać jakieś strzały, a młodzi ludzie nie patrzą przyjaźnie na gringos, do których się zaliczałem. Prezeską Związku była sympatyczna pani, dawna sportsmenka, ale firmą rządził z tylnego siedzenia bardzo bogaty burmistrz niedalekiego miasteczka. Dużo pracy było przy tych Mistrzostwach, a główniane zarobki w związku z jakimś dziwnym systemem podatkowym szczególnie dla takich obcych jak ja.

Zawody zorganizowaliśmy w miasteczku Antigua, które jako pierwsze zdobyli Hiszpanie – konkwistadorzy tego kraju. Było usytuowane u podnóża wulkanu, który zalał miasto dwieście lat temu wodą! – nie lawą, bo tak się składa, że w nieczynnym już kraterze zbierała się od kilkuset lat woda. Miasto utonęło w błocie, więc zaczęto je powoli odkopywać i czyścić – teraz jest już w niezłym stanie. Widać wszystkie kolonialne hiszpańskie budynki, choć zobaczyć można także ruiny starych klasztorów.

Na Mistrzostwa Świata Juniorów przyjechała ekipa Polaków, więc czułem się różnie w tym słabo cywilizowanym kraju. Po tylu latach podróży mogę pozwolić sobie na uogólnienie, obserwując Polaków za granicą. Są bardzo oszczędni, ostrożni, nie szastają pieniędzmi i gotowi są zjeść byle co

lub nawet wcale, aby oszczędzić pieniądze dane jako kieszonkowe – mowa tu o grupach sportowych, które nie biorą swoich pieniędzy. Indywidualni turyści, to już trochę co innego. Wytrzymałem tam jednak tylko kilka miesięcy i zakończyłem ten kontrakt.

ANEGDOTY I CIEKAWOSTKI ZE ŚWIATA

Moja mama, dziewiąta córka Hrabiego Szczerbińskiego i Anny Richter, urodzona została w Teremnie na Podolu. Dziadek został zabity przez bolszewików, a wszystkie ciotki uciekły do Warszawy i Krakowa.

Wspomnę także o swoim bracie ciotecznym, prof. Stanisławie Rakusa-Suszczewskim, który przez ponad 20 lat był szefem polskiej stacji im. Henryka Arctowskiego na Antarktydzie.

Niemcy byli już dość łagodni wobec miejscowej ludności, ale Ruscy agresywni, a poza tym szukali wódki. Jeden zgwałcił starą chłopkę, a kiedy został przez nią rozpoznany, dowódca zebrał pluton i kazał mu kopać dla siebie grób, a następnie go zastrzelił.

Razem z kolegami, gdy byliśmy dziećmi, spływaliśmy Wisłą od mostu Średnicowego lub Syrenki do ubrań zostawionych pod mostem Kierbedzia. Ponieważ chodziłem do szkoły na godz. 13, rano bawiliśmy się na gruzach Powiśla w wojnę. (o zgrozo!).

Kiedy w 1952 roku miałem Komunię u Św. Teresy na Powiślu, ojciec siedział w więzieniu zamknięty przez Urząd Bezpieczeństwa na ul. Gęsiej, tak zwanej Gęsiówce. Niemcy trzymali tam jeszcze Żydów, bo był to teren getta. Po sześciu miesiącach tatę wypuścili – w zimie, w koszuli, z ręcznikiem na głowie. Pieszko przyszedł aż na Powiśle. Pamiętam, że mama chodziła tam z paczkami i godzinami czekała na gruzach, a kiedy rozmawiała z panią prokurator (Żydówką), ta położyła pistolet na biurku. Potem tata powoli wrócił do pracy. Zaczął w służbie zdrowia, w Instytucie Reumatologicznym – wtedy jeszcze na Oczki u prof. Reicher, jednej z pionierek reumatologii. W późniejszym czasie przyczynił się do wybudowania wielkiego i nowoczesnego Instytutu Reumatologicznego na ul. Spartańskiej.

Wychowały nas siostry Urszulanki na Wiślanej. Obok, cały teren między Tamką a Mariensztatem był zrujnowany, między innymi kościół księdza Siemca. Teraz jest to terenu Uniwerku (Uniwersytetu Warszawskiego), a naprzeciw, na terenach dawnych Filtrów znajduje się biblioteka. W przedszkolu spacerować odbywaliśmy po dachu wypalonego budynku Sióstr Urszulanek.

W latach 50-tych i 60-tych na Saskiej Kępie była plaża wiślana, na którą chodziłem razem z rodzicami. Obok na Wiśle zacumowany był pływający basen, a nurt rzeki przepływał przez jego drewniane ściany i wielką frajdą było pływanie pod prąd. Cóż to był za trening! No i bezpieczny. Plaża, choć pełna gruzu i butelek posiadała sprzęt gimnastyczny i sztangi. Przychodzili tam znani zawodnicy i dźwigali niewyobrażalne wtedy dla nas ciężary. Dokoła towarzyszył im zebrany tłumek gapiów, a naprzeciw, po drugiej stronie Wisły było i jest aktualnie Towarzystwo Wioślarskie. Odbываły się tam zawody, ale najbardziej emocjonujące były zawody ścigaczy. Tłumy stały na „Poniatowszczaku” i obserwowały je z góry.

W latach 50-tych zjeżdżaliśmy też na sankach, nartach i łyżwach z ulicy Oboźnej (Oboźniaka) od Teatru Polskiego do elektrowni na Dobrej (Powiśle). Potem już nieco starsi chodziliśmy na winko do Hopfera obok dziekanki na szlaku, czyli na Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat. Tańczyliśmy na Płycie Czerniakowskiej, a był to marmurowy parkiet obok Szpitala Czerniakowskiego. Stał tam dom moich dziadków, który został zburzony w 1939 roku. Tańczyliśmy oczywiście dixieland, bo big-beat nadszedł dopiero później. Dochodziło tam także do różnych krwawych bójek, w których uczestniczyli chłopaki z Powiśla, Woli i Czerniakowa – to była taka mała wojna. Milicja nie mogła jednak nic zrobić, bo była wtedy jeszcze bardzo słaba i nie zbyt sprytna.

W zimie, w kule śniegowe, czyli piguły, wciskaliśmy kamienie, co stanowiło bardzo dobrą broń. To nasze dolne miasto rządziło się swoimi prawami. Każdego dnia starsza kobieta, która ciągnęła wózek z ciepłym pieczywem, dawała nam, klęczącym dzieciakom, modlącym się na Radnej przed figurą Matki Boskiej w klasztorze, po ciepłej bułce.

Parę lat później, kiedy już dźwigałem w Skrze, jeździliśmy często z pokazami na prowincję mazowiecką. To był ubaw, kiedy najsilniejsi we wsi nie mogli podnieść sztangi, którą dźwigał nasz najlżejszy zawodnik. Za pomost służyła brama, a kiedy zobaczyli magnezję, mówili: „Aha! To jest proszek na technikę”. Potem odbywały się obiady gościnne w knajpie ze schabowymi i wódeczką.

Byliśmy małolatami. Wówczas najsilniejsze kluby w Warszawie to były AZS (Akademicki Związek Sportowy) i AWF ze swoją siłownią, słynnym Hadesem i zawodnikami: Baszanowskim, Smalcerzem, Ozimkiem i trenerem Dziedzicem. Słynna była także Legia na czele z Jankowskim, Zielińskim i

trenerem Styczyńskim. Później dołączył Lotnik z trenerem Klemensem Roguskim. W kraju zaś do najsilniejszych klubów należał ten z Górnego Śląska, w którym brylował Czesław Białas. Na świecie dominowali wówczas Sowietci i Amerykanie, potem dołączyli Polacy.

Przypomniałem sobie też, że jako dziecko grałem w Teatrze Polskim na ulicy Karasia u boku Haliny Mikołajskiej i Jana Świdorskiego w sztuce Słowackiego „Horsztyński”. Pamiętam moją kwestię: „Ja mu dam bębenek!” – chodziło o modlitwę wieczorną i przeproszenie Boży za wszystko, ale zapomniałem, że mówiłem to w złym tonie.

Moje pierwsze liceum, to Liceum im. Czackiego na ul. Karowej. Z kolei, kiedy byłem w Liceum im. Dobiszewskiego, brałem udział w Mistrzostwach Polski, po których miałem przyjemność uczestniczenia w sesji zdjęciowej. Pamiątkę stanowi fotografia, na której śliczna kobieta trzyma mój biceps. Zdjęcie to ukazało się w piśmie „Sport dla wszystkich”. Zaraz potem dyrektorka szkoły wezwała moich rodziców na rozmowę, a że oni nie przyszli, to zaprosiła na rozmowę mnie, bo byłem już pełnoletni. Finał był taki, że nie zdałem pierwszej matury.

Pamiętam, że kiedyś w tłusty czwartek pomazałem tablicę tłuszczem, przez co nauczycielka nie mogła na niej pisać. Poszła więc na skargę do dyry, a ja w tym czasie wyrzuciłem tablicę przez okno.

Na AWF miałem ksywkę Majster – tak nazywali mnie studenci z całej Polski na I roku AWF i w ich mniemaniu oznaczało to „szef”. Połowa roku była z Warszawy, reszta zaś z różnych rejonów Polski. Rok 1963 – oni sportowcy z prowincji, a ja sportowiec łobuziak z Warszawy, która w tamtym czasie miała już swoją popkulturę, przez co ci chłopcy byli tu nieco zagubieni. Fakt, byliśmy dla nich nieco okrutni, ale wkrótce to minęło, studia i wojsko sprowadziły nas na ziemię.

Opowiadałem kawały o pracy na budowach w Warszawie i podobało im się to. Wymyśliłem nawet strój sportowy naszej grupy.

Zacząłem od kradzieży długiego metalowego pręta z elektrowni Powiśle. Z Heniem Olszewskim zanieśliśmy go w nocy do piwnicy na Krakowskie Przemieście, aby tam zrobić sztangę. Nota bene w tej samej piwnicy urodził się mój tata (w 1918r.). Ćwiczyliśmy w tej piwnicy w każdą niedzielę po Mszy Świętej, bo w trakcie tygodnia trenowaliśmy na Stadionie Skry.

Przed big-beatem był jeszcze u nas jazz tradycyjny, czyli dixieland. Było wiele zespołów, w których grali znakomici muzycy. Tańczyliśmy na Płycie Czerniakowskiej, w Metalexporcie i Hybrydach. Potem grali polscy Shadow'si, czyli Tajfuny, Sheitan'y, a tańczyli Henio Meloman, Gienek Frajer, a razem z nimi Iza Zabieglńska, żona klarncisty.

Ślub brałem w Urugwaju, w mieście Maldonado (zupełnie jak nazwisko mojej żony) 130 km od Montevideo. Była to kaplica Dragonów w ich koszarach. Mój zawodnik – asystent wyścielił swoją ciężarówkę słomą, załadował ją młodymi, a następnie podjechał pod kaplicę i ich zwyczajnie „wysypał”. Ślubu udzielił nam sędzia pokoju, a bal odbył się w hotelu burmistrza ze względu na koneksje rodziny Maldonado z tym miasteczkiem obok Punta del Este.

Moja pierwszą żoną była Ewa Gilewska – najpiękniejsza dziewczyna, kobieta w Warszawie, z którą byliśmy razem przez 30 lat. W mojej drodze zawodowej wspierała mnie zawsze i zawsze mogłem na nią liczyć. Urodziła mi dwie piękne córki – Annę i Agnieszkę. Gdy Ania była już dorosłą kobietą, urodziła Andreę, a Agnieszka Vanessę i Evę. Te dwie najmłodsze wnuczki tańczą, można by rzec „zawodowo” hip-hop – to jest jak sport.

Drugą żoną była Liljan Maldonado, a nasze małżeństwo trwało 12 lat. Do dziś utrzymujemy kontakt, bo łączy nas nasza córka Viktoria, która obecnie studiuje aeronautykę na Politechnice w Barcelonie. Rozpiera nas duma.

Muszę koniecznie wspomnieć o Wojtku Gąssowskim, moim najlepszym przyjacielu z czasów liceum. Nasze zainteresowania muzyczne, sportowe, wymiana płyt (wtedy winylowych) zawsze nas łączyły. W szkole im. Dobiszewskiego rozdzielono nas z dziewczynami, bo je za bardzo adorowaliśmy, ale spotykaliśmy się na lekcji angielskiego. Wojtek czasopisma Down Beat dawał nauczycielce teksty angielskich piosenek do tłumaczenia na nasz język. Ona tłumaczyła, a Wojtek śpiewał te piosenki. Potem chodziliśmy na jego koncerty w klubach studenckich lub w Grand Hotelu. W knajpie Olimp na 8. piętze śpiewał w duecie z Romanem Hoszowskim. Razem z Wojtkiem przez wiele lat jeździliśmy na wakacje na Hel.

Drugi bardzo dobry kumpel to Marek Roszkiewicz, kuzyn mojej pierwszej żony. Ja trenowałem ciężary, a on zapasy. Teraz jest biznesmen, myśliwym, a nawet sędzią kynologicznym. On również przychodzi każdej środy na spotkania na Foksal na tzw. szlaku.

Jeszcze żyją największe siedemdziesięcioletnie łobuzy z tamtych szalonych lat. Po każdej zabawie w klubach były oczywiste bójki. Marek Roszkiewicz wygrywał wszystkie, bo zapaśnik w walce ulicznej ma większe umiejętności i możliwości niż bokser czy ciężarowiec.

Na bramce w Stodole stali bracia Kapłanowie – Jurek i Felek. Najpierw byli na Emilii Plater, potem na Trębackiej, a na końcu na Nowogrodzkiej. Pozwalali nam wchodzić, słuchać i tańczyć, a nawet śpiewać Stasiowi Guzkowi, czyli Stanowi Borysowi.

Na Dolnym Mokotowie do Liceum nr 34 chodził Marek Perepeczko, który uważał się za lepszego od innych. Uderzył kiedyś w szkole dziewczynę i dostał za to jakąś karę. W Lotniku wśród ciężarowców nie mógł już podskoczyć nikomu, bo nie miał szans – ten damski bokser.

Budynek, w którym obecnie mieszkam, został wybudowany w roku 1950 na gruzach getta, choć mur stał 50 metrów od mego domu. Moim sąsiadem jest Ryś Brzozowski, który mieszka tutaj od tego roku, a jego tata wozem konnym woził cegły z glinianek na Szczęśliwicach do budowy Muranowa. Rysio był sportowcem, a potem kierowcą tirów. Wspaniały sąsiad, który tak samo, jak ja, żyje sam.

Wyścigi na torze Służewca na trawie wygrywał Mieloch na motocyklach Zündapp i DKW. Miał on hodowlę czarnych róż pod Poznaniem. Wyścigi dookoła Legii wygrywał Dąbrowski na Nortonach, Triumphach, a na Wybrzeżu Kościuszkowskim wygrywały Gilery. Na Skrze na żużlu wygrywały angielskie JAP-y, dwusuwowe silniki o pojemności 500 cm³ bez biegów, posiadające jedynie gaz i sprzęgło. Potem pojawiły się Jawy i włoskie GM.

Chodziliśmy nad Wisłę oglądać wyścigi ślizgaczy lub wioślarskie obok mostu Poniatowskiego. Teraz stoi tam piękny budynek Towarzystwa Wioślarskiego.

Startowałem też w rajdach samochodowych z kuzynem, gdzie na Mazowszu zajęliśmy Syreną 8 miejsce. Super przeżycie! A największe wrażenie, to wyścig na ślimaku ulicy Karowej.

Kiedy zaczynałem dźwigać w Skrze, to do dyspozycji była jedna sztanga z obracającym się gryfem. Reszta to były kulolaski ze sztywnym gryfem i dwie kule żeliwne, gdzie sypało się piach lub śrut.

W latach 50-tych byłem w harcerstwie ZHP, a drużyna nosiła imię W. Sikorskiego. Byłem zastępowym w drużynie Wilków. Jeździliśmy na obozy na Mazury i tam budowaliśmy sobie siedziby z wyrąbanych drzew. Myślę, że to właśnie tam chwyciłem bakcyła sportu.

Pisząc o sporcie, nie sposób nie wspomnieć o mojej najmłodszej córce Victorii, która od dziecka trenowała pływanie – najpierw w Urugwaju, potem w Hiszpanii na obiektach treningowych pozostałych po 1992 roku. W Barcelonie był basen z rozsuwanym dachem mający 50m długości i 25m szerokości. Czy to zima, czy lato, dzieciaki pokonywały w poprzek kilka kilometrów dziennie, ale niestety trener nie pozwalał rodzicom obserwować treningów. W wieku 12 lat Viki pływała na zawodach już na 800m stylem dowolnym. Była też mistrzynią Katalonii w jej kategorii wiekowej na różnych dystansach i różnymi stylami. Zakończyła trening wyczynowy, kiedy zdała na tamtejszą Politechnikę, czyli w wieku 18 lat.

Na Mistrzostwach Świata w 1959 roku w warszawskiej hali Gwardii zaczął się mój ciąg do ciężarów. Miałem wówczas karnet na całe te zawody. 10 lat później po Mistrzostwach Świata i Europy na Torwarze zacząłem pracę w PZPC.

W 1969 roku w Warszawie odbyły się Mistrzostwa Świata i Europy, w których zremisowali walczący ze sobą Sowiec Jan Talts i Amerykanin Bednarski. Przed ostatnim podejściem radziecki lekarz wbił Taltsowi w pupsko zastrzyk aż trysnęło dookoła. Talts wygrał, lecz złoto przyznano potem Bednarskiemu.

Najdłuższą drogę do przebycia mieli nasi atleci zmierzający do Melbourne w 1956 roku. Najpierw musieli pokonać setki kilometrów pociągami do Władywostoku, a następnie statkiem do Australii. Może z tego powodu kiepsko wystąpili.

Zmarły już zawodnik Czesław Białas po Olimpiadzie w Melbourne, gdzie spalił, powiedział: „nie pił, nie polił, pojechał i spolił”.

Inny Ślăzak – Szoltysek – spalił na Mistrzostwach Świata wyciskanie. Po zejściu z pomostu powiedział trenerowi, że gdyby chciał, to by wycisnął, na co Roguski dał mu po uszach.

Do 1970 dźwigaliśmy sztangi ze stalowymi pierścieniami. Co to był za huk, kiedy spadały! Z uwagi na to, na te tysiące upadków sztangi i hałas nie do zniesienia, wszyscy z tamtych czasów mamy osłabiony słuch. W końcu jednak wprowadzono pierścienie ogumione.

W latach 70-tych byliśmy na meczu z Rosjanami w Kemerowie na Syberii. Po meczu odbył się bankiet, na którym były same kobiety! Wojna zabrała mężczyzn i jeszcze się „nie odrodzili”. To one prosiły nas do tańca, bo inaczej tańczyły same albo ze sobą nawzajem. To był dla mnie szok. Nie wiem dokładnie, jak jest teraz, ale kobiety mają zdecydowaną przewagę, dlatego muszą pracować w ciężkich profesjach. Turyści tam praktycznie nie docierają.

Rok 1970 – Węgry, Szombathely. Waldemar Baszanowski walczy z Bagotzem, który zaczyna się chwiać. Masażysta wbiega na pomost i pcha go do przodu. Trener Węgrów bije go i w końcu Waldek wygrywa.

Nasz niewidomy masażysta wszedł przez halę w centrum pięknego gazonu, deptając kwiaty i paląc papierosy.

Do 1972 roku istniały trójboje, w skład których wchodziło wyciskanie, rwanie i podrzut. Razem dziewięć podejść. Zawody trwały godzinami w jednej wadze, a wtedy było ich aż 7. Teraz istnieją tylko dwuboje (bez wyciskania), w których startuje wiele grup, dzięki czemu zawody są atrakcyjniejsze dla widzów.

À propos występów ciężarowców Izraela w Monachium 1972 roku, w których uczestniczyło wielu zawodników pochodzenia polskiego. Podczas ataku Palestyńczyków na ich kwatery zginął trener Polak, którego zastrzelono przez blokowane przez niego drzwi. Później na lotnisku w Monachium podczas próby ich odbicia zginęło wielu Żydów i Palestyńczyków.

Na I Mistrzostwach Juniorów w Marsylii zdobyliśmy dwa złote medale dzięki Robertowi Skolimowskiemu, tacie Kamili. Mieszkaliśmy w studenckim coumpandzie, gdzie pod dachem

umieszczono Ruskich, potem Izraelitów i niżej nas. Żydzi cały czas mieli obstawę. Było to po wydarzeniach z Monachium 1972 roku. Palestyńczycy przyjeżdżają na zawody arabskie, choć państwo nie do końca istnieje. Izrael, mimo iż leży w Azji, startuje w Mistrzostwach Europy w wielu dyscyplinach sportu.

Podczas Mistrzostw Europy w Berlinie w 1976 zawodnik NRD Gerd Bonk podrzucił 250kg – ćwierć tony! Na widowni siedział wówczas niestartujący najsilniejszy człowiek planety (jak nazywali go Rosjanie) Wasilij Aleksiejew, który przez to, że bił słabe brawa, a nawet nie wstał wobec historycznego wydarzenia, został wygwizdany przez publikę. Pierwszy raz widziałem, aby w owych czasach NRD wygwizdało Rosjanina.

W latach 80-tych byliśmy na turnieju w Palma de Mallorca na Balearach, gdzie zawody rozgrywane drużynowo z Bułgarami, Rosjanami i Hiszpanami odbywały się w operze. Pod sceną, gdzie znajdowała się winda, mieliśmy rozgrzewkę. Winda ta wywoziła fortepian na scenę, a nas, zawodników, na pomost. Wygraliśmy ten turniej.

W 1980 roku podczas Mistrzostw Europy w Belgradzie w szpitalu w Zagrzebiu zmarł Josip Broz Tito. Z tego powodu przerwano zawody. Pociąg z trumną jechał przez całą Jugosławię, a tłumy stały przy torach. Wreszcie po ogłoszeniu przez Janusza Przedpeńskiego, Prezydenta EWF, zawody wznowiono.

Igrzyska Olimpijskie w 1984 w Los Angeles wyglądały podobnie, ponieważ nie było wschodu w rewanżu, za to byli Rumuni i Chińczycy, którzy nabrali naprawdę wiele medali.

Poważnie zaczęło się w Barcelonie w 1992, gdzie zaczęto brać próbki antydopingowe jeszcze przed startem. I tak w Rio de Janeiro zbadano Tomka Zielińskiego, który miał dziecinne pretensje, że ledwo przyjechał, a już go badają. Śmieszyło mnie to oburzenie, bo po tych badaniach wpadł.

Jak mówiłem, wszyscy idą w zaparte. Jest to śmieszne, bo wszystkie próbki są bez nazwisk, zawierają tylko kody i nawet laborant nie wie, kogo sprawdza.

W Manchesterze 1986 r. odbył się mecz Polska-Anglia. Byliśmy wiezieni autokarem, a Sławek Zawada zasnął na siedzeniach z tyłu. Wysiedliśmy z pojazdu na trening, a kierowca pojechał dalej po dzieci

wracające ze szkoły. Sławek obudził się przerażony wśród gromadki dzieciaczków, bo myślał, że go porwano.

W Manchesterze po meczu Polska-Anglia w roku 1986 zaproszono nas w niedzielę rano do pubu, w którym byli sami faceci. Odbił się tam popis dwóch dziewczyn przebranych za policjantki, które zaprosiły jednego z zawodników, udając, że biją go pałkami. W końcu obsypały go mąką, a Angole mieli niezły ubaw. Wypili po piwie i jakby nigdy nic, poszli na niedzielny obiad.

Podczas Mistrzostw Europy w Reims w roku 1987, uciekł mi zawodnik. Przyjechała po niego rodzina czy znajomi z Niemiec. Zbiegli się dziennikarze, a ja musiałem wytłumaczyć tę dziwną sytuację przed wszystkimi. Wtedy to była sensacja i przestępstwo, ale na szczęście rozeszło się po kościach.

W Cardiff '87, gdy miałem zapłacić za pobyt drużyny opłatę w wysokości dwudziestu kilku tysięcy dolarów w Komitecie Organizacyjnym, wyjąłem paczkę z jednodolarówkami, a przerażony kasjer, widząc to, powiedział do mnie: „Oh my God! You will pay this for everything?”.

W 1990 roku w Gdańsku na Przymorzu założyłem klub ciężarowców Atleta, który istnieje aż do dziś. Znajduje się w nim piękna, duża hala, wiele pomostów i scena na zawody idealna dla wszystkich, którzy zdecydują się na udział w naszym sporcie.

W 1995 roku Ambasador Polski Ryszard Schnepf dogadał się z milionerem Janem Kobylańskim w sprawie organizacji Kongresu Polaków Ameryki Łacińskiej w Urugwaju, której to zostałem dyrektorem. Wszystko wyszło bardzo dobrze, ale w późniejszym nieco czasie wyżej wspomniani Panowie weszli w konflikt personalny, choć Jan Kobylański w dalszym ciągu organizuje te Kongresy co 2 lata.

W tym samym roku przyjechali Rolling Stonesi, którzy zagrali koncert na Stadionie River Plate w Buenos Aires. Trybuny i boisko były pełne! Takiej widowni nie było nigdy. Przed koncertem Stonesi zrobili w specjalnym namiocie przyjęcie dla VIP-ów, na które przyszedł Nick. Jedli, pili, a potem zagrali koncert.

W 1995 roku byłem z Argentyńczykami w Chinach (Kanton – obecnie Guangzhou). Była tam szkoła

sportowa nad Perłową Rzeką, w której znajdowały się setki dzieciaków, ciężary, gimnastyka i tenis stołowy. Moją uwagę zwróciło to, że w hali do pingponga stały dookoła stojaki do przysiadów ze sztangą. Oni naprawdę poważnie trenowali ten „sport”. Gra się na nogach, które im są silniejsze, tym wytrzymalsze, góra zaś musi być luźniutka i szybka. U nas wtedy chyba o tym nie wiedzieli.

Kiedys byliśmy w Niemczech w winnicy należącej do Niemki i Polaka, który zastąpił jej męża Niemca zaginionego na froncie. Polak ten był tam wówczas na robotach jako parobek. Dużo było takich historii. Chodząc piwnicami, pluliśmy tymi próbowanymi winami do wiadra, które niósł nasz superciężki Palka z Chrzanowa. Kierownictwo faktycznie próbowało tych win, ale chłopcy pili je i połykali wszystko. Palka uczciwie dźwigał to wiadro i śmiał się, że gdyby chłopaki nie pili, tylko pluli, to by go nie udźwignął. To samo pamiętam z Budapesztu. Kosztowaliśmy wina przy stole i wypluwaliśmy je do wielkiej szklanej kuli. Później podano próbki Rosjanom, którzy dotarli na miejsce nieco później, ale oni stwierdzili, że spróbują wina z tej szklanej bańki.

Któregoś razu zaproszono nas na winko do blisko położonej winnicy, w której sprawozdawca TVP tak się spił, że wieźliśmy go rowerem listonosza. Nasz masażysta powiedział, że idzie robić zdjęcia parlamentu i zniknął nam w Budapeszcie.

Bardzo duży problem pojawił się w związku z dopingiem. Z próbkami antydopingowymi jest tak, że pobiera się mocz, a bardzo rzadko krew, bo to ogromna różnica w wykrywalności. Rzecz polega na tym, że pobrania krwi można odmówić z różnych względów, a mocz jest rzeczą ludzką, naturalną. Dlatego dopiero po wielu latach wykrywane są w zamrożonych próbkach środki wówczas niedozwolone. Aby to było jasne, wyniki powinny być natychmiast, a nie po kilku latach. Cyrk na kołach! Nasz były prezes KołECKI został mistrzem po 10 latach, bo jego przeciwnik był na koksie, a on sam wpadał przedtem aż 3 razy. To jest zabawa w kotka i myszkę.

Wątpliwym jest też to, jak Szymon KołECKI, mając 20 lat podrzucił 232kg. Ja sam jestem bardzo silnym człowiekiem i mogłem podrzucić wtedy 160 kg, jedząc tylko tatara przed treningiem. To są złodzieje, czarodzieje i takich należy tępić. Postawmy na młodzież, ale czyściutką!

Barcelona 1992 roku odznaczała się bardzo wysokim poziomem organizacji, radością, przyjaźnią i pełną frekwencją. Pojawiłem się z zawodnikami z Ameryki Południowej. Polacy zdobyli trzy medale i po raz pierwszy odbyła się kontrola antydopingowa przed zawodami. Komentowałem wtedy do TVP z Krzysiem Miklasem grupę A, czyli finały, bo moi zawodnicy startowali w grupie B.

Polskie wpadki zaczęły się na MSW w Columbus Ohio, gdzie wpadło trzech zawodników, a Polska komusza prasa obwiniała imperialistów o spisek. Potem na Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu w 1976 roku wpadł Zbigniew Kaczmarek. Musiałem jechać do Katowic, żeby zabrać mu medal, który zdobył, a następnie oddać go IWF. Wracalem sypialnym pociągiem z Katowic do Warszawy i spałem z tym medalem pod głową, żeby nikt go nie ukradł.

Jeśli chodzi o doping, to wszyscy od lat byliśmy w to umoczeni. Wszyscy jednak domagali się wyników, zarówno władze Związków, jak i zawodnicy. Największe ryzyko ponosili jednak trenerzy. Dlaczego w takim razie jest cisza wokół lekarzy, kadr i działaczy?

Igrzyska Olimpijskie w 1980 r. w Moskwie były farsą. Zachód zbojkotował, a organizatorzy wylewali próbki antydopingowe za okno, aby pokazać rezultaty sportowców socjalistycznych.

W latach 80-tych do Meksyku przyjeżdżały pływaczki z NRD, które ćwiczyły cały dzień i jadły w basenie kanapki z niemieckim salami. Brały wszystko, co dawali trenerzy, bo nie istniał taki system kontroli jak teraz. Ciężarowcy Kubańscy najpierw z radzieckimi trenerami, a potem ze swoimi także brali, co się dało. Wówczas najpopularniejszy był polski metanabol w tabletkach.

Podczas mojego pobytu w Iraku za Saddama Husajna, przychodzili do mnie zawodnicy i prosili o recepty na wyniki. To samo działo się w Arabii Saudyjskiej, wszyscy wręcz domagali się tego ode mnie. Robiłem im zastrzyki z witaminą B12 i mówiłem o cudownym działaniu tego specyfiku. W Katarze współpracowałem ze słynnym trenerem Ivanem Abadżijewem, który za normalne uważał dawanie zastrzyków testosteronu każdego dnia, a kto ich nie chciał, tego wyrzucał z kadry. Na obozie w Sofii, kiedy wpadła komisja antydopingowa IWF, on uciekł z hotelu i wystawił mnie. Na szczęście jakoś wywinąłem się z tego dzięki dobrym stosunkom z nimi.

Ciekawą rzeczą jest to, że nasz PKOl (Polski Komitet Olimpijski) przegłosował bojkot, w związku z czym zawodnicy na Igrzyska nie pojechali, jednakże nasi działacze całą gromadą pojawili się tam jako sędziowie. Przebywałem tam wówczas z Meksykanami i spotykając ich, wytykałem im tę hipokryzję.

Jeśli chodzi o sprawy wychowawcze, to wśród zawodników i trenerów dominował alkohol. Po prostu stał się wszędzie bardziej tolerowany. Teraz głównym problemem jest doping, bo stał się bardziej dostępny i zawodnicy mają więcej pieniędzy. Alkohol niewątpliwie był plagą nr 1. w naszej historii, dopiero na 2. miejscu plasował się doping. Bolesny jest bardzo fakt, że począwszy od 1987 roku, w stosowanie dopingu włączyły się dziewczyny.

Często podczas przesiadek na lotniskach mieliśmy wiele godzin oczekiwania na następny lot, więc proponowałem zawodnikom zwiedzanie miasta. Pomysł chwytała właściwie tylko wykształceni i przygotowani chłopcy. Ci mniej przygotowani woleli siedzieć na miejscu, nie wiedząc, gdzie właściwie się znajdują, oszczędzając każdego dolara.

Na Ceylonie (Sri Lanka), w dawnej stolicy Kandy w górach prowadziłem kurs. Pewnego razu wyposażeni w girlandy szliśmy pochodem przez miasto, a na jego czele szły słonie. Małpy wyrażały swą radość, rzucając w nas dachówkami. Później w przerwie przyprowadzono mi słonia spętanego łańcuchami i zaproponowano, abym siadł na niego.

Moi chłopcy, których trenowałem, nie mogli się nadziwić, kiedy właściwie w całej Skandynawii gorące mięsne potrawy popijało się zimnym mlekiem.

W Katarze pracował ze mną trener łuczników Pan Bogdan Stuligłowa. Pojechał na obóz do Niemiec ze swoimi Katarczykami, a oni czekając w restauracji na obiad, zjedli całą owocową dekorację. Bodzio musiał za to zapłacić. Już wtedy widać było również po moich chłopcach, jak wyzwalają się spod tego reżimu poprawności, jaki mieli u siebie, na przykład w restauracjach osobne sale dla mężczyzn, kobiet i rodzin.

Kiedy wróciłem po 15 latach z Katarczykami do Kanton, nie poznałem miasta. Manhattan to małe piwo.

Najlepsze pytanie, jakie dostałem padło w Hondurasie, a brzmiało: w jakim języku mówimy w Polsce? Samoa na Pacyfiku – hala sportowa, w której prowadziłem kurs, podarowana została przez Chiny. Parlament obraduje w palmowej wiacie. W takich samych wiatach bez ścian mieszkają ludzie. Znalazłem tam na górze grób pisarza Roberta Louisa Stevensona, tego od „Wyspy skarbów”. Teraz są pod kontrolą nowej Zelandii, ale jakiś czas byli pod kontrolą Niemców i dlatego można znaleźć tam bardzo dobre piwo.

Obok znajduje się Samoa Amerykańska i tamci mieszkańcy mogą głosować w USA. Wszyscy, choć są daleko od siebie, pięknie tańczą w stylu hawajskim. Szkołę tańca prowadzi tam Angielka.

W Bukareszcie mój działacz zapalił materac od fajki, przez co całe pomieszczenie wypełnił dym jak cholera. On jednak nie za bardzo się tym przejmował i dusząc się, palił dalej.

Podczas Igrzysk Islamskich w Arabii w Medinie wydano ze świętego miasta grobu Mahometa wszystkich niemuzułmańskich trenerów. Wywieziono nas poza granice miasta do dobrego zresztą hotelu. Dowożono nas jedynie na treningi i zawody. Po zawodach chłopcy ogolili głowy, założyli prześcieradła i pojechaliśmy do Mekki. Mnie oczywiście nie wpuszczono do tego świętego miasta, więc musiałem pojechać do Jeddah i czekać nich na lotnisku.

W Republice Dominikany w Santo Domingo, Prezes Federacji podarował mi pieska chihuahua, których całą hodowlę miał na dachu domu. Przed wylotem dał mu jeść i środek nasenny, a ja wsadziłem go do torby podręcznej wraz z gazetami i butelkami rumu i przeszedłem przez bramki rentgenowskie (wyglądało to tak, jakbym niósł szkielecik). W samolocie psina się obudziła, a że była w bagażniku na górze, to zsiła się na głowę mego sąsiada. Zdjąłem ją na dół, po czym suczka Figa uciekła, w efekcie czego szukał jej cały samolot. Stewardesy postawiły w końcu miseczkę z jedzeniem pod drzwiami toalety, więc Figa przyszła, zjadła i zrobiła dużą kupę. Znowu zamknąłem ją w torbie i przemyciłem w Madrycie. Podczas lotu do Polski także oszukałem załogę, bo psina nie miała certyfikatów. W Warszawie przeszedłem cło bez problemów i w końcu wylądowała w domu Marii i Janusza Przedpelskich.

Na meczu Węgry-Polska mieliśmy początkowo remis, ale w ostatniej wadze widząc, że przegram, podałem bardzo wysokie podejście pierwszemu naszemu. Węgrzy to chwycili, w efekcie czego spalił i nasz i tamten. Tak uratowałem remis.

Kiedy byłem z Meksykanami w Teksasie, zaproszono nas do domu trenera, strażaka. Miał w garażu siłownię, mimo że w remizie również była siłownia i wszyscy trenowali tam w wolnym czasie. Zaprosił nas na obiad, przed którym jak na starych westernach odbyła się obowiązkowa modlitwa dziękczynna.

W Meksyku, kiedy całą rodzinę miałem już w komplecie, pojechaliśmy w towarzystwie ekipy ciężarowców na zawody do miasta Guadalajara w stanie Jalisco, 500 km od Ciudad de Mexico. Po drodze popsuły nam się samochody, a że była noc, musieliśmy je szybko naprawiać. Meksykanie doradzili mi, aby moja blond żona i córka ukryły się w kukurydzy obok szosy, bo przejeżdżający ciężarówkami kierowcy, gdyby chcieli okazać nam swą pomoc, widząc atrakcyjne dla nich kobiety, mogliby skusić się na czyny groźne, niezgodne z prawem. Leżały więc w tej kukurydzy, dopóki nie naprawiliśmy samochodów. Nie skorzystaliśmy oczywiście też z żadnej pomocy kierowców, żeby nie narażać się na niebezpieczeństwo z ich strony, bo niektórzy z nich byli po prostu bandytami.

Na Igrzyskach Olimpijskich w Barcelonie, Izrael przysłał przybyszów z Rosji. Byli to fałszywi Żydzi, którzy podszywali się pod nazwiska wzięte z macew (żydowskich płyt nagrobnych). Nikt nie mówił w języku jidysz ani po hebrajsku. Teraz są tam setki, a nawet tysiące fałszywych Żydów. Podczas pobytu na zawodach rozmawialiśmy tylko po rosyjsku. Teraz się to zmienia, ponieważ Izrael zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, przyjmując tylu Rosjan. Trzeba jednak przyznać, że to Polska była głównym krajem tranzytowym tychże Żydów do Izraela.

W naszym sporcie bardzo mało jest młodzieży z dużych miast. Garnie się do niego głównie młodzież z prowincji i fajnie, że aspirują do tego, żeby dostać się do wielkich klubów.

Działacze sowieccy na każde zawody w całej Europie mieli zawsze dużą walizę z suszoną rybą zawiniętą w gazety, wódką i jakąś kielbasą lub słoniną. Każda drużyna miała opiekuna z KGB, którego na wspólnych prywatnych spotkaniach w hotelu trenerzy upijali. Przede wszystkim po to, by nie

słuchał naszych rozmów i nie kablował. Wszyscy podziwialiśmy, jak ruscy po kielichu uwielbiają śpiewać.

Moje najciekawsze loty, to lot z Buenos Aires do Miami, a następnie do Los Angeles i Hongkongu. Imponujący był widok wielkich pól rolniczych w Teksasie i ich nawadnianie bardzo długimi karuzelami na kołach.

Bardzo ciekawy lot był także z Buenos Aires do Ziemi Ognistej, gdzie odbywało się tankowanie samolotu, a następnie lot nad Antarktydą do Auckland w Nowej Zelandii. Widoki niesamowite! Na koniec spędziłem jeszcze parę godzin lotu na wyspę Samoa na środku Pacyfiku.

Wyjazd na Kubę odbywał się z udziałem chłopców z całej Polski. Jednemu z nich wsadzono do walizki kawał płyty chodnikowej, z którą przyleciał do Hawany. Nam z kolei zarekwirovano szynkę krakus, którą woziliśmy ze sobą i wrzucono do jakiegoś otworu, gdzie na pewno czekali na nią głodni urzędnicy.

Podczas Igrzysk Arabskich w Jordanii, kiedy byłem z drużyną Arabii Saudyjskiej, chciałem iść z nimi na ceremonię otwarcia w obecności króla. Powiedzieli mi jednak: „ubierz się w nasz strój, to pójdziesz”, a następnie kupili mi wszystko, co było potrzebne. Widziałem ogromne zdumienie trenerów z innych krajów tym bardziej, gdy słyszeli moje słowa: „wszedłeś między wrony, to kracz jak one”.

Międzynarodowy Komitet Olimpijski wycofuje jakieś sporty, dyscypliny i wprowadza nowe. Pewnie w niedalekiej przyszłości i nasze fajery zamienią na coś innego. W końcu nowe dyscypliny czekają w kolejce ze sponsorami.

Największe przeżycia w Meksyku, to dwa trzęsienia ziemi i corrida z przelatującym Concorde nad areną, zniżającym się do lotniska. Podczas jednej z walk byka z matadorem, rozpędzony byk przeskoczył drewnianą bandę i złamał sobie róg. Ludzie z pobliskich trybun uciekali w przerażeniu, a moje dwie córki okropnie płakały.

W Arabii Saudyjskiej ogromne wrażenie robiła grobla prowadząca z Arabii do Bahrajnu wybudowana przez Holendrów. Z uwagi na to, że w Arabii nie ma alkoholu, mieszkańcy robili wyprawy do Bahrajnu tą właśnie drogą, aby się tam upić, a następnie odbywać pijane powroty do Arabii. W Emiratach Arabskich wrażenie zaś wywarł na mnie bankiet zorganizowany po zawodach na statku i taniec brzucha wykonywany przez hurysę.

Świetnym zdarzeniem, które miałem okazję obserwować, było stado kąpiących się w rzece słoni.

Najczęstsza kontuzja w naszym sporcie dotyczyła kolan, nadgarstków i barków. Najgorsza, jaka może się zdarzyć właściwie tylko na zawodach, to wyłamanie łokcia do tyłu przy rwaniu, czasem w podrzucie, gdy zawodnik trzyma sztangę za szeroko. Ale taka była moda techniczna, a niektórzy stosują ją do dziś. Do tego dochodziły oczywiście bóle w odcinku lędźwiowym kręgosłupa, a czasem dyskopia (jak w moim przypadku).

Kiedyś po meczu Polska-ZSRR, na którym drużyna sowietów złożona była z różnych narodowości, szliśmy ulicą w Gliwicach, na której młody Czeczen zobaczył kościół. Przeszedł więc na drugą stronę ulicy, aby wejść do niego. Trenerzy rzucili się za nim z obłędem w oczach, dorwali go w przedsiionku i siłą wyciągnęli. Dla nas był to ogromny wstyd.

W Pradze Czeskiej zwiedzaliśmy katedrę Św. Wita, w której przez cały czas wielki, znany trener i działacz Miedwiediew chodził w kapeluszu.

Odbyliśmy także wycieczkę nad Morze Martwe, położone 400m poniżej poziomu morza. Robiło się coraz cieplej, więc położyliśmy się na wodzie ustami do góry, bo inaczej można spalić oczy. Arabskie zawodniczki, które były z nami kąpały się w ubraniach. Co za widok! Jak jakieś kukły pływające obok. Niedaleko znajdował się hotel SPA leczący czarnym błotem z dna tegoż Morza (robiono z tego błota także kosmetyki).

Wymienię nazwiska ludzi, z którymi pracowałem w kraju. Mój pierwszy trener ze Skry od 1959 roku - Sobstel, potem w Lotniku – Klemens Roguski, następnie Augustyn Dziedzic na AWF. Po AWF-ie

wróciłem do Lotnika i tam poznałem Przemka Kwiatkowskiego, który żyje do dziś. W PZPC poznałem z kolei Janusza Przedpełskiego i sekretarkę Marię Walejko, która została potem żoną Prezesa (my poznaliśmy się w 1969 roku na MSW i Europy na Torwarze). Przyjaźniłem się z kulturystami z tamtych lat – z Wiesiem Chałasem i Janem Włodarkiem, bokserem Wiesiem Gawrońskim, a teraz z Mistrzem Świata Masters Arm Wrestling – Konstantym Królikiem. Prawdę mówiąc, niewielu nas żyje.

Myślę także, że konieczne jest wspomnienie roli, jaką odegrała Pani Maria Walejko (później Przedpełskiej), pracująca w PZPC od roku 1969 aż do roku 2015. Była sekretarką Sekretarza i Prezesa, prowadziła korespondencje z całym światem, tłumaczyła pisma w wielu językach, reprezentowała Związek w kraju i za granicą. Była lubiana, a wszystkie sprawy Związku miała w pamięci. Można nawet powiedzieć, że w jednym palcu.

Na turnieju w Moskwie po zawodach, Paweł Rabczewski, ojciec Dody podpadł w jakiejś knajpie Rosyjskim żulikom. Chwilę po tym, jak wyszedł sam z restauracji, został napadnięty i uderzony jakimś prętem. Leżał w kupie śniegu, bo była to akurat zima. Potem został znaleziony i przewieziony do szpitala. Prezes Przedpełski został z nim, a drużyna wróciła do domu. Była to piękna postawa naszego Prezesa, który w każdej sytuacji wiedział jak się zachować. W Rumunii, kiedy uciekł nam samolot, a w innym zostało niewiele miejsc, zabrał zawodników, a mnie i Roguskiemu powiedział: „No to łapcie pociąg” (haha).

Janusz Przedpełski był osobą, która niewątpliwie wywarła największy wpływ na moje życie zawodowe, a nawet prywatne. Jest to człowiek bardzo taktowny, który łagodził konflikty, bardzo dyplomatyczny – w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Pewnie dlatego był Prezesem przez tyle lat bez względu na kolor ustroju. Nie był prezesem przynoszonym w teczce, a nasze środowisko wybierało go jednogłośnie. Po prostu nie było lepszego kandydata na to stanowisko. Nawet mnie kiedyś namawiano, abym zawalczył z Januszem, ale praktycznie od razu zdałem sobie sprawę, że nie ma to sensu. Nie byłem w tym tak dobry, no i lojalność nie pozwalała mi tego uczynić. Janusz pobił rekord świata, a Prezesi Związków zmieniający się na całym świecie brali z niego przykład. Nikt mu nie podskoczył i co ciekawe, nasza władza ludowa nie czepiała się jego osoby.

Lotnik (obecnie al. Jana Pawła róg Solidarności) pod delikatesami był nie tylko salą treningową.

Spotykali się tam również wielcy ludzie sportu jak Jurij Vlasov – najsilniejszy człowiek planety (jak go nazywano) albo Tommy Kono wielokrotny mistrz świata – Hawajczyk. Muszę koniecznie wymienić też nazwisko Przemysława Kwiatkowskiego, oficera lotnictwa, absolwenta AWF, sportowca, lekkoatletę, młociarza, ciężarowca, kulturystę. Był naszym trenerem, a nawet więcej – wychowawcą, starszym bratem. Trenował nas i uczył życia. W Lotniku w siłowni na Muranowie zainstalował stoliki szachowe, abyśmy mogli poćwiczyć również intelekt. Uczył nas odżywiania, higienicznego trybu życia i kulturalnego zachowania. Przemek żyje do dziś i mieszka na Grochowie. Uczy tenisa i jeździ na nartach pomimo swojej osiemdziesiątki. Mam z nim bliski kontakt. Niedawno zmarł Marian Jankowski – medalista Mistrzostw Świata i Europy, mistrz Olimpijski. Był trenerem Legii i działaczem. Przemek jest z kolei emerytowanym pułkownikiem. Poznałem niedawno Pana Konstantego Królika, człowieka ponad sześćdziesięcioletniego, Mistrza Świata w dość młodej dyscyplinie sportu – w siłowaniu się na rękę (arm wrestling). Wielokrotny Mistrz Świata Masters, szalenie miły i kulturalny człowiek. Ostatnio z nim współpracowałem i zamierzam dalej tę współpracę kontynuować. Jest to mieszkaniec i wychowanek praskiego kamionka.

Jak już wspomniałem, Lotnik był także miejscem, w którym spotykali się ludzie kultury. Między seriami odbywały się dyskusje Marka Perepeczki z Piotrem Kozerskim (był w późniejszym czasie konsulem w polskich ambasadach), z którym mam kontakt do dziś.

Kiedy budowaliśmy już siłownię „Lotnika” na początku lat 60-tych w budynku „Pod Delikatesami” po starej kotłowni, róg Świerczewskiego i Marchlewskiego (teraz Al. Solidarności i Al. Jana Pawła II), w piwnicy odkryliśmy zamurowane zwłoki Bogdana Piaseckiego. Był on synem Bolesława Piaseckiego, szefa silnej partii przed wojną – Falanga – która zajmowała się obroną Polaków i prześladowaniem Żydów. Po latach, kiedy Bolesław Piasecki stał się szefem dużej instytucji PAX, zemszczono się na nim i na jego synu Bogdanie. Nie ulega wątpliwości, że byli to Żydzi z polskiego UB (Urzędu Bezpieczeństwa), którzy porwali dziecko ze szkoły św. Augustyna znajdującej się na ulicy Naruszewicza, a następnie zawieźli go do piwnicy (mojej przyszłej siłowni), gdzie w pomieszczeniu służącym za toaletę został zabity rytualnym żydowskim nożem. To straszne! Jego zeszyty i książki leżały rozrzucone na ziemi. Ślady tej zbrodni ciągną się do byłego MSW i Organizacji Żydowskich – taki jest mój wniosek.

Warto też wymienić najlepszych zawodników Lotnika lat sześćdziesiątych. Byli nimi Bogusław Marchlewski, Janusz Wolańczyk, Roman Piątek, Ryszard Wasiak, Wojciech Wasiak, Jan Kawko, Paweł Nowak, Wojciech Rejmer, Witold Hyś. Ten ostatni był ważną postacią, ponieważ był szefem sekcji. Dalej, pułkownik Cezary Kirejczyk i dr Jerzy Halter, który dbał o nasze zdrowie. Roman Dworznicki, pseudo Karol, z którym poznaliśmy się na Skrze. Wrócił z zakładu karnego i był trochę starszy ode mnie. Trenowaliśmy trzy razy w tygodniu. On tak jak ja ćwiczy dotąd w siłowni Polibudy. Kiedy wróciłem do kraju na stałe, pomógł mi wiele stary przyjaciel z Powiśla, bokser Wiesław Gawroński, ten, który powalił Jurka Kuleja w hali Gwardii, ale walkę przegrał, bo poddał go jego trener. Wiesio żyje niedaleko mnie i potrafił niedawno pobić trzech łobuzów w parku Saskim. Starzy bokserzy spotykają się w Paragrafie vis a vis Sądów i jeżdżą na pielgrzymki do Częstochowy z Księdzem Mikulskim. Ciężarowcy nie mają niestety takiej tradycji.

Na Kubie po zawodach pojechaliśmy do Varadero, byłych posiadłości amerykańskich magnatów chemicznych DuPont, w których mieszkali oczywiście przed rewolucją. Takiego domu nie widziałem nigdzie! Był z hebanu!

Na Mistrzostwach Europy w Mediolanie w latach 50-tych Włosi zakwaterowali naszą drużynę w jakimś hoteliku. Chłopcom się to bardzo podobało, bo było dużo damskich gości. Zaprzyjaźniali się z nimi, lecz wkrótce okazało się, że mieszkają w burdelu. Jeden z zawodników pierwszy raz zobaczył bidet i nawalił w niego, myśląc, że to inny model sedesu. Kiedy wrócili chłopcy, zobaczyli go dłubiącego patykiem w tym, co narobił, żeby to przepchnąć.

Najcieplej polską drużynę przyjmowano w Meksyku. Nigdzie więcej i nigdy już nie było tak gorącego przyjęcia i dopingu.

W Moskwie w wiosce olimpijskiej zawodnicy z Afryki urządzali głośne fiesty. Któregoś razu Władek Komar nie wytrzymał i rzucił na dół plastikowy worek z wodą – to było jak bomba – i fiesty się skończyły.

Medalista Marek Seweryn zbijał dużo kilogramów tak, że po zawodach, ale już w wiosce we własnym pokoju stracił przytomność. Na szczęście miał opiekę medyczną. Trener Klemens Roguski był

zwolennikiem zbijania wagi o całą kategorię. Liczył, że wynik z wyższej kategorii powtórzony w niższej będzie bardziej wartościowy. Czasem się to udawało. Słyszał też z pokerowych zagrywek, na przykład zawodnika, który nie podniósł 100 kg (zamiast powtarzać próbę), wysłał na 102,5 lub 105 kg. Czasem trafiał.

Gdy jednak naszemu zawodnikowi coś się stało, to nasz lekarz drużyny dr Michał Firsowicz, choć sam był lekarzem, pochylał się nad zawodnikiem i nie dotykając go, wołał: „lekarza!”.

Igrzyska w Los Angeles były poza ceremonią otwarcia i zamknięcia, były mniej interesujące ze względu na nieobecność Krajów Demokracji Ludowej na rozkaz Moskwy. Ceaucescu, pierwszy Sekretarz Rumunii zignorował to i wysłał na Igrzyska Rumunów, którzy zdobyli worek medali.

Na wszystkich Mistrzostwa w latach 70-tych robiliśmy wycieczki dla trenerów klubowych i ich rodzin. W ten sposób wszyscy byli na bieżąco z naszym sportem.

Na turnieju w Erywaniu poduszki z medalami trzymały małe gimnastyczki, stojąc na bosaka na zimnym pomoście. Zachciało im się siusiać, więc popuszczały, a w końcu położyły poduszki na pomoście i uciekły. Sędzia Starodubcew brał te medale, wycierał o poły marynarki i wieszał na szyjach medalistom.

Mistrzostwa Europy w Sofii – dźwigaliśmy w Pałacu Sportu, ale pewnego dnia Todor Żiwkow zażyczył sobie zrobić tam wiec, przez co na jeden dzień zawody przeniesiono do cyrku.

W latach 70-tych nasza drużyna narodowa trenowała głównie w Centralnym Ośrodku Sportu w Zakopanem, Cetniewie i Warszawie na AWF-ie. Obecnie doszła Spała i Giżycko. Jeśli chodzi zaś o zagranicę, to w latach 70-tych był to ośrodek w Font Romeu w Pirenejach, a obecnie w Madrycie.

Inauguracje Igrzysk Azjatyckich urządzono na wyspie w amfiteatrze na środku rzeki Perłowej.

Ankara (Turcja) – na zawodach w cyrku atleci tureccy dotykali czołem trenera i całowali go w rękę.

Bułgaria, Sliwen – po meczu odbył się bankiet u sekretarza partii w podziemiach willi. W piwnicy win kelner odszpuntował bekę i to wino zalało nas po kolana. Kierownik ekipy, który przyjechał w wojskowym szynelu, miał płaszcz zalany do kolan.

Hongkong – spałem w hotelu przypominającym moje małe mieszkanie podzielone jeszcze na kilka pokoi.

Korea, Pjongjang – na trening wystawili stół z winkiem owocowym, zakąskami i papieroskami, a warto wspomnieć, że były to zawody juniorów.

W Korei Północnej pokazano nam w latach 70-tych dzieci w domu kultury, które z zasłoniętymi oczami rozkładały i składały kałasznikowa.

Iran – nasz Sekretarz Związku przywiózł jako upominki stertę krawatów, a przecież jak wiemy, oni ich nie noszą – to obraza.

Byliśmy w Iranie w czasie święta muzułmańskiego ofiarowania. Na stadionie zaobserwować można setki mężczyzn rozebranych do pasa, którzy kroczą po bieżni samobiczując się po plecach aż do krwi. Następnie odbyły się ludowe zawody zapaśnicze.

Tunezja – po kursie w roku 1977 jak głupi wyjąłem z walizki pół litra wyborowej i upiłem wszystkich kursantów. Było naprawdę wesoło.

Algieria – byłem z Katarczykami na Igrzyskach Arabskich, na których zdałem sobie sprawę, że publika bardzo ostro reaguje na zawodników z innych krajów arabskich.

Urugwaj – każde głosowanie państwowe jest ściśle obligatoryjne dla uprawnionego obywatela.

Brazylia – na stacjach benzynowych są dystrybutory z alkoholem, paliwem z trzciny cukrowej.

W Arabii Saudyjskiej muzułmanie nie używają pasty do zębów, traktują ją bowiem jako obcy ciało

środek – zęby czyszczą rozczapierzonym patykiem. W innych krajach też to widziałem. Co więcej, uważają, że prawa ręka jest czysta i to nią przyjmuje się jedzenie. Lewa zaś jest nieczysta, bo służy do czynności higienicznych.

Argentyna, Urugwaj – Wigilie zaczyna się o północy pieczonym jagnięciem lub prosiaczkiem. Do tego czasu siedzi się i drinkując konwersuje.

W dawnym NRD na śniadanie podano nam befsztyki.

Najobfitsze jedzenie w restauracjach i hotelach podaje się w Rosji.

Kanton-Guangzhou, Chiny – stoję na skrzyżowaniu i czekam na światło. Nagle z przeciwnej strony rusza chmara nie samochodów a ludzi na rowerach! Takiej ilości rowerzystów na raz nie widziałem nigdy. Nieopodal na bazarze kupcy złapali złodzieja, przybył więc milicjant, który spuścił przestępcy straszne manto, a następnie jak worek wrzucił go do radiowozu.

Meksyk – widziałem kiedyś na skrzyżowaniu policjanta, który kierował ruchem. Słaniał się na nogach i widać było, że miał straszego kaca. Widząc mnie, kiwnął palcem i powiedział „Ola gringo! Compra me una cerveza”, co oznacza „kup mi piwo”.

Pewnego razu wraz z trenerami i naszymi rodzinami pojechaliliśmy na łączkę w lesie na wzgórzach ponad miastem, gdzie zapaliliśmy ognisko, żeby urządzić jakiegoś grilla. Powiał wiatr i zapaliła się cała łąka! Uciekaliśmy stamtąd jak najprędzej, bo samochody stojące nieopodal zaczęły się grzać i groziło wybuchami baków z benzyną. Skończyło się na tym, że wszyscy zwialiśmy i nikt nie ucierpiał.

Brazylia, Argentyna, Urugwaj – takiej ilości młodzieży grającej w piłkę nożną nigdzie na świecie nie widziałem. Grają na plażach, na łączkach żrebaków – tak to nazywają – i wykazują się niesamowitymi umiejętnościami technicznymi. Są samoukami, rzadko mają jakiegoś instruktora, dlatego potem, już jako dorośli piłkarze wszyscy mają kiwkę – drybling – w przeciwieństwie do naszych graczy, którzy mając naprzeciw obrońcę, oddają piłkę koledze.

Bardzo rzadko idą w kiwkę, nie mówiąc o przejściu 2-3 jak to widzimy u Messiego, Suareza, Ronaldo czy Neymara.

W Katarze miałem asystenta pochodzącego z Egiptu. Prymitywny człowiek, ale sympatyczny. Kiedy rozmawialiśmy o naszych religiach, to jedyne co potrafił powiedzieć, brzmiało: „kill them” – na myśli miał oczywiście chrześcijan szczególnie po tym, kiedy Emir nakazał budowę kościoła na obrzeżach Doha obok cmentarza islamskiego. Kościół ten nie mógł mieć krzyża na kopule, a wizytowali go głównie Filipińczycy i Europejczycy, w szczególności Polacy.

Do mojego mieszkania w Doha przesyłano co tydzień młodego Hindusa, aby posprzątał apartament. Pewnego dnia, kiedy mył okna, nie zauważyłem, że jest na zewnątrz na gzymsie, a nie na parapecie. Zamknąłem więc okno, a że zniknął mi z mieszkania, pomyślałem po prostu, że sobie poszedł. On jednak siedział za oknem i nawet nie wołał o pomoc. Trwało to dość długo nim zorientowałem się, że chyba jest na zewnątrz. Otworzyłem więc okno i zobaczyłem go z boku na tym gzymsie – na szczęście dość szerokim. Wszystko skończyło się śmiechem, a nie awanturą.

W kościele w Doha był biskup angielski.

Kraje postkolonialne wolą zatrudniać Anglików lub Francuzów niż Amerykanów, choć po upadku Imperium Osmańskiego popadli właśnie pod władzę Angoli, a nie Amerykanów.

W obecnej stolicy Colombo jest pomnik Pani Premier Bandaranaike – wielki szacun. Widziałem tam także plażę Oceanu Indyjskiego, z falami, jakich nie widziałem nigdy.

Irkuck nad Bajkałem – lecąc do Korei miałem na lotnisku postój. W dolnej hali chłopcy zaczęli nagle krzyczeć: „Trenerze! Patrz co się dzieje na górze!”, a gdy spojrzałem w tamtym kierunku, zauważyłem dziesiątki biedaków leżących i czekających na loty gdzieś na Syberię.

W Górach Kryształowych niedaleko Pjongjang w Korei Północnej zaproszono nas na grilla. Był to dom w górach, a ściany skalne rzeczywiście błyskały kryształami. Czekając na posiłek, piliśmy jakąś ryżową wódkę. W którymś momencie poszedłem za dom i zobaczyłem sforę psów, którą karmił kucharz. Zdziwiłem się, że jest ich tutaj aż tyle, dopóki nie okazało się, że czekają na śmierć – w taki

sposób pozbywano się tych bezpańskich. Wspomniany grill był z psów, ale o tym dowiedzieliśmy się po konsumpcji.

W latach 1950-1953 była wojna między Koreą Północną i Południową. Północ wspierały Chiny i Związek Radziecki, a południową Stany Zjednoczone. Było strasznie dużo ofiar, szczególnie po stronie amerykańskiej. W końcu ustalono, że 38. równoleżnik dzielący Półwysep Korei na pół, stanowił granicę. I na tej granicy w miejscowości Panmundżom (byłem tam 2 razy) są potworne zasieki po 2 stronach. W środku znajduje się barak, gdzie obradują obie strony na temat pokoju i rozbrojenia. Granice stanowił stół!! Ta wojna formalnie nie zakończyła się aż do dziś.

Mongolia, Ułan Bator – tam, w mieście obok pomnikowych budowli jest osiedle Jurt.

USA, Dallas – podczas pobytu z Meksykanami pożyczyłem auto combi, do którego wpakowaliśmy się w dziewięć osób. Wieczorem chłopcy wzięli ten wóz i pojechali na dyskotekę. Po paru godzinach przywiozła ich policja, wyrzuciła skutych na parking i zawołała do mnie: „Oddajemy panu podopiecznych”.

W Arabii Saudyjskiej – Rijad, na starym rynku znajduje się podium, na którym odbywały się ścięcia. Ludzie pracujący tam dla Saudis, ludzie z całej Azji obserwowali ścięcie dwóch Pakistańczyków. Nie wiem za co. Klęczą, ręce związane z tyłu, kat dźga mieczem, a ofiara podnosi głowę i nagle ciach! Głowa spada! To samo z drugim. Potem rozchodzimy się na bazar (po arabsku suk) na zakupy – ja, aby kupić abaję dla żony, która wkrótce przylatywała z córeczką.

Bagdad – z zawodnikami Kataru byliśmy na urodzinach Saddama Husajna, które trwały 3 dni. Po zawodach objechałem miasto i natrafiłem na katolicki kościół, który był niestety zamknięty, ale ksiądz otworzył go specjalnie dla mnie, żebym mógł się pomodlić. Podarowałem wtedy datek, a było to w 2005 roku i widać było ślady zniszczeń po wojnie z Kuwejtem. Inflacja była taka, że kiedy wymieniłem 50 dolarów, to nie mogłem upchnąć w kieszeniach tej ich forsy.

Rijad, Arabia Saudyjska – mój zawodnik zaprosił mnie z żoną i córeczką na farmę wielbłądów na pustyni blisko miasta. Jadąc, chłopak nagle zatrzymał wóz i z braku wody obmył się piaskiem, a

następnie pomodlił się w kierunku Mekki. Potem piliśmy wielbłądzie mleko, co było bardzo nierozsądne z uwagi na boreliozę. W marketach sprzedawane jest w kartonach pasteryzowane mięso. Ciekawostką jest to, że autostrady mają siatki, żeby wielbłądy nie wyszły na drogę.

W Arabii Saudyjskiej za tzw. reckless driving, czyli szaleńczą jazdę grozi areszt i chłosta podzielona na seanse, które wykonuje specjalnie stworzona do tego maszyna. Moi chłopcy doświadczyli tego na własnej skórze.

W Arabii Saudyjskiej najlepsi zawodnicy byli i są z okręgu Damman nad Zatoką Arabską (zwana też Perską). Są Szyitami, ponieważ w bliskiej odległości znajduje się Iran. Sunnitów praktycznie nie miałem. Zauważyłem też, że nie zbyt się lubili, ale w sumie byli to rdzenni Saudis. W Katarze natomiast mieszkali sami Sunnici (bardzo dużo napływowych, a mało rdzennych).

Katańczycy, tak samo jak mieszkańcy Emiratów żyją zbyt dobrze i wygodnie, aby parać się fajerami. W Bahrajnie w większości zobaczyć można Szyitów, choć władzę piastują sunnici. Stąd wynikają te rozruchy sprzed kilku laty.

Mieliśmy dużo zgrupowań w Syrii, a dokładniej w Damaszku i największą przyjemnością była łaźnia jeszcze z czasów osmańskich. Tam w sporcie widać było duże wpływy radzieckich trenerów; w polityce również – ich wpływy widać aż do dziś.

W czasie Świąt Wielkanocnych byliśmy w miasteczku Malula, gdzie ludzie mówili po aramejsku, jak Chrystus. Znalazłem tam klasztor św. Katarzyny, w którym mogłem się pomodlić, a moi Katańczycy patrzyli z zainteresowaniem, jak klęczę.

W hotelu była zagrodka z pisklętami, a dookoła skały i dużo turystów. Taka chrześcijańska enklawa – zresztą w Damaszku również.

Syria – ogromne wrażenie wywierają tamtejsze pozostałości rzymskie, tj. amfiteatry, tory, wyścigi rydwanów w Palmyrze – teraz to miasto zostało zburzone przez ISIS.

Morze Martwe w Jordanii z Izraelem po drugiej stronie – co ciekawe, wszedłem do rzeki Jordan, która

jest teraz dość niewielka i zamoczyłem w niej swoich chłopców – Arabów – nieświadomych tego rytuału.

Amman, piękna stolica Jordanii – na wzgórzach cyprysowych i oliwkowych wnosiły się domy z białego piaskowca niemogące przekraczać wysokości 3-4 piętra. W centrum kraju obejrzałem film z Ezequielem pt. „Cierpienie Chrystusa”.

Król Arabii Abdallah ze śliczną żoną Palestynką u boku sprawiał wrażenie człowieka bardzo postępowego.

Bashar al-Assad, obecnie Prezydent Syrii, syn starego Assada doszedł do władzy przypadkiem, bowiem jego starszy brat zginął w wypadku w drodze na lotnisko.

W Damaszku przeżyłem całkowite zaćmienie słońca, podczas gdy moi Katarczycy pochowali się w pokojach, a ja wyszedłem na ulicę, robiąc zdjęcia pustych ulic w mroku.

Mój najgorszy lot samolotem jaki odbyłem miał miejsce właśnie między Colorado Springs a Denver w stanie Colorado nad Rocky Mountains. Zdaje się, że maszyną, którą lecieliśmy był Boening – B7-37, w której pojawiły się jakieś problemy i trzęsło nas niesamowicie! Pasażerowie krzyczeli, płakali, byli przerażeni, a my z zawodnikami siedzieliśmy cicho, skurczeni. Czekaliśmy chyba na śmierć. Piloci stanęli jednak na wysokości zadania i w końcu wylądowaliśmy w Denver. Przyznam, że mając „na liczniku” miliony kilometrów przelatanych po świecie, nie doznałem takiego strachu, choć z reguły i tak go nie okazywałem. Zostawała już tylko śmierć bez bólu.

Arabskie dziewczęta zaczęły dźwigać ciężary kilkanaście lat temu w Egipcie, potem w Tunezji, Algierii, Syrii, Jordanii i krajach Zatoki, ale tam już nieco później.

Egipcjanie nie uważają się za Arabów tak jak Persowie. Turków i całą północną Afrykę po prostu podbili muzułmanie z Półwyspu Arabskiego, których połączył islam, a nie korzenie rasowe.

Na Półwyspie Arabskim, tj. w Arabii Saudyjskiej, Katarze, Emiratach, Bahrajnie, Kuwejcie można

zawrzeć jedynie ślub cywilny, nie ma bowiem u nich takich „kościelnych” ślubów jak u nas. Co więcej, w Arabii na przykład, ślub jest umową cywilną między rodzinami, nie zaś religijną. Co kto zaoferuje – najpierw matki potem ojcowie, w końcu młodzi. Przyjęcie weselne jest organizowane osobno dla kobiet i mężczyzn. W Jordanii, Syrii i Libanie było trochę luźniej, wesela organizowano mieszane.

Na Kubie w Hawanie kierowca busa nie chciał ruszyć, bo chłopaki zdjęli koszule w tym wilgotnym upale. Potem w ambasadzie polskiej Pan Renke zaprosił nas na moje 28 urodziny. Podano szynkę Krakus z puszki i jakieś napoje. Mój zawodnik Grzesio Ciura zbijał wagę, więc na śniadanie poprosił jajka na miękko. Kelnerzy pracowali na naszych oczach i kiedy zaczęli rozbijać te jajka, żeby zrobić jajecznicę, Grzesio (już świętej pamięci) zawołał „Trenerze, jojka trzaskają!”

W Santo Domingo stolicy Republiki Dominikany jest katedra, gdzie spoczywają domniemane szczątki Kolumba.

W Wenezueli jak głupi zaprosiłem murzyna na plażę, żeby się trochę poopalać. On z uśmiechem dotknął piersi i powiedział: „mam zbieleć?”

W Urugwaju w Montevideo miałem siłownię pod stadionem, który był widownią Mundialu 1930. Wówczas brakarzem Urugwaju był Władysław Mazurkiewicz. W szatni jeden z zawodników niewystawiony wówczas do meczu zastrzelił się, przez co moi zawodnicy nie chcieli tam chodzić.

Co tydzień organizowano barbecue – typowe asado, gdzie serwowano dużo mięsa i trochę wina.

W Argentynie i Urugwaju na grilla szykuje się 1 kg mięsa na głowę, oczywiście wołowiny, która piecze się na ruszcie. Jako przystawkę podają kielbaski wieprzowe i kaszaneczki. Do tego szklaneczka whiskey, a następnie wołowina z ensalada rusa, czyli z naszą jarzynową domową sałatką w bardziej prymitywnym wydaniu.

Problemem bogatych krajów arabskich z punktu widzenia humanitarnego, są tysiące pracowników domowych z Indonezji (muzułmanek) i z Filipin (chrześcijanek). To, czego one doznają w domach Arabów, to istne niewolnictwo. To samo tyczy się robotników budowlanych z tamtych krajów. Oni sami nie zbudowaliby niczego bez ich pomocy.

Źródłem bogactwa Kataru jest teraz gaz ziemny odkryty na dnie Zatoki Arabskiej, skraplany i wysyłany statkami budowanymi w Korei Południowej na cały świat. Ropa z kolei dominuje w Arabii Saudyjskiej, Kuwejcie, Emiratach i Bahrajnie. Pośród krajów Zatoki nie odwiedziłem tylko Omanu.

W Urugwaju i Argentynie szybko wycięto Indian Charrua i dlatego te kraje od trzech, czterech pokoleń są pełne białych emigrantów z Hiszpanii, Włoch czy Francji.

W Belgii w latach 80-tych prowadziłem kurs w czasie którego towarzyszył mi trener Czesio Białas. Mieliśmy hotel i pieniądze na życie, lecz Czesio wybrał coś tańszego niż ja. On zresztą kupował nawet te konserwy z głową kota.

Kair – jakiś trener zaprosił mnie na city tour. Było Boże Narodzenie 1978 roku. Ubrałem się elegancko, a on podjechał motocyklem z jednym siedzeniem – ale była jazda!

W Afryce Północnej mieszkają Beduini, Berberowie, Tuaregowie. W Tunezji potomkowie Kartagińczyków, zaś Turcy i Persowie obrażają się, kiedy łączy się ich z Arabami.

Kiedy Egipcjanie mieli swoje wielkie państwo, Arabowie byli półdzikimi, zagrzebanymi w piasku ludźmi. Potem zaczęli łowić perły w Zatoce, ale Japończycy ich skasowali swoimi sztucznymi hodowlami. Jeszcze w latach 50-tych siedzieli na plaży i czekali na statki z Indii, aby coś sprzedać. Walutą była wtedy rupia. Rozwój kraju zaczął się dopiero po odkryciu ropy w 1938 roku i wizycie ówczesnego prezydenta Roosevelta na statku w Jeddah, kiedy była tam stolica Arabii Saudyjskiej.

Sofia, Bułgaria – jestem na zgrupowaniu z Katarczykami, rok 2005. Mieszkamy w hotelu i co tydzień przyjeżdżają żołnierze amerykańscy z byłej Jugosławii na spotkanie z rodzinami ze Stanów. Na ulicy obok chodził człowiek z niedźwiedziem na łańcuchu.

Finlandia, Turku – podziemne miasto w skale z lodowiskiem hokejowym. Miał to być schron do wojny z Rosją. Finał był taki, że Finowie stracili pół Półwyspu Karelskiego.

Mistrzostwa Świata w Moskwie w roku 1975 – zawody dobiegają końca, ludzie wstają, a bileterka mówi: „jeszcze nie koniec, zostały 3 podejścia!”. Tak dobrze знаła tę dyscyplinę i zawody, że była w stanie stwierdzić to patrząc jedynie na tablicę wyników.

Kiedy w VIII wieku arabski islam dotarł do wybrzeży hiszpańskiej Iberii i zobaczyli skalę Gibraltaru, zawołali: „Gedel ali”, co oznaczało „wysoka góra”. Potem zajęli Andaluzję i spalili statki, aby się nie cofać i tak zostali do XV wieku. Izabela Catolica (Izabela I Katolicka, ta, która wysłała Kolumba w podróż) zwyciężyła ich i postawiła im wszystkim ultimatum. Arabowie i Żydzi mieli się przechrzcić lub uciekać z kraju. Arabowie się wtopili, a Żydzi uciekli do Holandii, a potem na wschód do Polski i Rosji. Holandia także ich nie przyjęła, ponieważ była wówczas hiszpańska pod władzą Burbonów.

Ferdynand, mąż Izabeli, czyli Elżbiety był figurantem. Hiszpanie jakoś współżyli z Arabami przez 700 lat. Pomnik Izabeli i Ferdynanda stoi w Sewilli w Weronie.

W 1974 odbyło się przyjęcie na podwórku domu Julii Capulett, niedaleko jej grobu z Romeo Montekim. Największe wrażenie wzbudza tam Arena di Verona, zupełnie jak Colosseum w Rzymie.

W Urugwaju jest więcej bydła i owiec niż ludzi. Tamtejsi kowboje i Gauchos jeżdżą od hacjendy do hacjendy pracować sezonowo z bydłem. Łapią je nie lassem, ale linką z kulkami, które pętają nogi zwierzaka, owijając się wokół nich. Ich jedyna broń, to duży nóż, którym potrafią oprawić zwierzaka. Dawniej, kiedy podróżowali, mogli zabić byczka i zjeść go, ale skórę musieli zostawić na ogrodzeniu farmy. Zasada jest taka: jedno bydle albo dwie owce na hektar ziemi. Teraz dzielony jest na 4 części, a zwierzęta chodzą po nim obrotowo. Odgradza się je tam, gdzie były, aby odrastała trawa, a w innym miejscu jedzą już tę nową.

Na stadionach sportowych urządza się giełdy zwierząt. Na początku pokazuje się stado, które przechodzi przez wagę, po czym kupcy deklarują, ile centów za 1 kg są w stanie zapłacić. W Argentynie jest podobnie z bydłem, tyle że mają też duży rynek koni. Popularna jest gra w polo, dlatego Arabowie z Emiratów chętnie kupują te konie.

Dwóch moich zawodników poleciało samolotem z tymi końmi jako koniuszy. Na miejscu, kiedy właściciel załatwił z szejkiem transakcję, szejek zawołał chłopaków i dał im po 10 tysięcy dolarów.

Honduras – po zawodach i kursie zaproszono nas do potajemnej knajpki, gdzie podano supę zółwiową i jaja, choć jest to nielegalne. Zaproszono mnie też na nie całkiem legalną walkę kogutów. To jak mały cyrk. Ludzie obstawiają wyniki, a koguciki mające doklejone plastrem ostrogi, walczą, aż jeden padnie. Są one trenowane i tak na przykład chodzą po linie rozpiętej nisko nad ziemią.

Armenia, Erewan – wielki turniej międzynarodowy. Przewieziono nas wszystkich z Moskwy. Po zawodach odbyła się kolacja w hotelu. Wchodzę do toalety, a tam dwa rzędy otwartych kabinek bez sedesów tylko z dziurami i jacyś wojskowi z dzwoniącymi na piersi medalami w półprzysiadzie.

Amerykanie mają Ośrodek Olimpijski w Colorado Springs. To miejsce po starej bazie lotniczej USA, którą ulepszają i modernizują. W latach 80-tych było to śmieszne, ponieważ pokoje były wspólne, a toalety na korytarzach. Lotnicy zrobili obok nową bazę, gdzie dowództwo sił powietrznych mają w jaskiniach pod Górami Skalistymi.

Kiedy byliśmy z Meksykanami w Colorado Springs u podnóża Rocky Mountains postanowiliśmy wejść na najwyższy szczyt Pikes Peak znajdujący się obok, a nazwany tak od nazwiska porucznika armii amerykańskiej Peaka. Z Kanady wraz ze swoimi zawodnikami przyjechał mój młodszy kolega z AWF-u, również trener podnoszenia ciężarów. Weszliśmy na ten szczyt – 4500m! Wyobraźcie sobie moi Czytelnicy, że on zemdlął, a ja siedziałem tam na górze w parku i piłem piwo. Chłopaki jego pytali mnie dlaczego on zemdlął i dlaczego muszą go cucić, na co odpowiedziałem, że to mój kolega ze szkoły w Warszawie.

W Armenii w Erywaniu na górze znajduje się wielki imponujący z wiecznym ogniem pomnik ofiar rzezi Ormian przez Turków. To chyba najciekawszy, jaki widziałem.

Śmieszne zdarzenie z kraju – Koszalin, mecz Polska-ZSRR. Nakładacze stoczyli sztangę z pomostu, aby wyszczotkować gryf z magnezji. Wtem super ciężki i strasznie napalony Andrejew wszedł na

pomost, schylił się i począł grzebać rekami, szukając sztangi. Chłopaki byli wystraszeni a sala zdziwiona, po czym wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Jordania pełna jest Palestyńczyków i uchodźców po wojnach z Izraelem. To samo dzieje się w Libanie, który jest teraz pięknie odbudowany przez UNESCO po wojnie religijnej. Nadmienię tu, że mimo animozji religijnych istnieją dzielnice chrześcijańskie w Bejrucie, Ammanie i Damaszku. W bogatych krajach arabskich istnieje niewolnictwo służby domowej oraz robotników budowlanych z Azji południowo-wschodniej. Służące domowe są bite, gwałcone i nie dostają zapłaty za swoją pracę. Robotnicy budowlani umierają jak muchy pod słońcem, mieszkając niczym w obozach pracy. Powstała nawet organizacja broniąca tych dziewczyn, które (jeśli się uda) uciekają do swych ambasad. Dla robotników istnieje prawo, żeby nie pracować między 12:00 a 16:00 na słońcu. Agencje jednak sprowadzają pełne samoloty tych biedaków, z Indonezji muzułmanki, a z Filipin chrześcijanki. Dla służby domowej najokrutniejsze są arabskie żony panów domu. Jedynie pracując u zagranicznych pracodawców, mogą liczyć na ludzkie traktowanie. Podobnie to wygląda w Argentynie. Tak wykorzystują autochtonów z Paragwaju, Boliwii i Peru. Swoich z północy zresztą też, a są to przecież rodowici jeszcze Indianie. W Urugwaju nie zauważyłem tego problemu.

Czarni w krajach Półwyspu Arabskiego to potomkowie niewolników porywanych przez Arabów od wieków. W Syrii, Jordanii, Iraku czy Meksyku nie ma Murzynów. Czytałem, że Arabowie wywieźli więcej niewolników niż hiszpańscy konkwistadorzy. Choć w Argentynie i Urugwaju również ich nie zobaczymy, to warto zauważyć, że Portugalczycy przywieźli ich wielu do Brazylii. Na Karaiby przywozili Holendrzy, Anglicy i Hiszpanie. W Stanach Amerykanie przywozili ich dopiero w XVIII wieku.

Były prezydent IWF Gottfried Shoedl mówił, że w Wiedniu w latach 50-tych i 60-tych poznawał Rosjan na ulicy po kapeluszach i paltach (szynelach) do kostek, które dostawali służbowo na wyjazd. Arabskie Mistrzostwa Świata w Jordanii – po raz pierwszy w 2004 przyjechały arabskie dziewczyny z Egiptu, Tunezji, Algierii.

W Damaszku przed murami starego miasta jest pomnik Saladyna na koniu deptającego krzyżowca Ryszarda Lwie Serce.

Z kolei, w wielkim meczecie jest gablota z głową Jana Chrzciciela, o którą prosiła Salome. Na dziedzińcu tego meczetu stoi skarbiec na kurzej nodze/słupie, w którym chowano złoto. Podobnie jest w Sewilli. Nad rzeką Guadalquivir stoi wieża, w której gromadzono złoto zdobyte przez konkwistadorów.

Na tym chyba doszedłem do końca mojej historii życia i sportu. Od trzech lat ciesze się widokiem opery kameralnej i lasku iglastego naprzeciw mojego bloku. Co jakiś czas chodzę tu na opery Mozarta z córkami lub wnuczkami.

EPILOG

Pisząc tę książkę cały czas wahałem się, o czym opowiedzieć szerzej – o życiu zawodowym czy też prywatnym. W trakcie pracy nad nią okazało się, że nie można, opowiadając o tym, co wydarzyło się w moim sporcie pominąć tego, co działo się w moim „cywilnym życiu”, ponieważ działo się to równolegle i wzajemnie oddziaływało na siebie. Myślę, że wielu autorom książek piszących o wspomnieniach swojego życia w ciągu tylu lat nie udało się oddzielić tych dwóch światów. Ci, którzy piszą książkę nie o sobie, ale o historii, nauce, podróżach, beletrystyce czy kuchni, może i mogliby podjąć próbę oddzielenia tych światów, ale w konsekwencji jest to bardzo trudne i chyba byłoby całkiem nietrafne.

Zdecydowałem się zatem opisać wszystko, co działo się wokół mnie przez 75 lat, choć zawsze kierowałem się tym, aby sport, którym żyłem był na pierwszy miejscu. Przecież to właśnie praca w sporcie, a nie życie prywatne kierowała moimi losami. Obserwując szeroko pojęty sport przez tyle lat, uświadomiłem sobie, że spontaniczność dzieci czy nastolatków została pochłonięta przez przemysł, jakim ze sztucznym uśmiechem został sport, a który stał z kolei się sprawą zawodową.

O pieniądzach w sporcie mówi się wstydliwie chyba jeszcze bardziej niż w innych zawodach, a to zakrawa na hipokryzję. Widzimy przecież, jak szaleńczo reagują środki masowego przekazu na wszelkie wyniki sportowe. Czy tak samo jest, kiedy powstanie nowa szkoła, placówka kulturalna, szpital lub most? Otóż nie, bowiem te sprawy uważane są za rutynę, coś normalnego, codziennego, za coś, co po prostu powinno powstać, więc w końcowej ocenie nie jest to zbyt atrakcyjne. Wynik sportowy zaś jest jak dar niebios, więc Alleluja! Nikt nie wini tu jednak sportowców, bo jak pisał klasyk: „(...) jest popyt na Igrzyska”. Dzieje się to dlatego, że nawet ci, którzy wykonują na co dzień szarą pracę, pragną oprócz przysłowiowego chleba właśnie rozrywki. A tej dostarczają im sportowcy, aktorzy, film, teatr czy cyrk. Oni wszyscy, którzy dostarczają tych atrakcji, zarabiają lepiej niż ci, którzy ich oglądają – tak jest zdecydowanie w większości przypadków. Obserwując i przemierzając ten świat, do takich właśnie wniosków doszedłem. Są to moje refleksje, a świata zmienić się nie da. Ja sam przecież uczestniczyłem w tej już cywilizowanej „zabawie”. Taką drogę wybrał świat starożytny i z pewnymi zmianami idziemy nią aż do dziś.

Z perspektywy czasu muszę powiedzieć, że sport wyczynowy, często już teraz zawodowy nie prowadzi do zdrowia tylko do pieniędzy, o ile ma się szczęście. Do zdrowia prowadzi umiarkowana

forma każdej aktywności ruchowej – raczej rekreacyjnej – i proszę, rozróżnijmy te dwa pojęcia. Niech sportowcy rekreacyjni nie mają kompleksu niższości wobec wyczynowców! Wyczynowców zaś ostrzegam – nie śmiecie się z tak zwanych prawdziwych amatorów, nazywanych przez was „frajerami”. Zaręczam, że oni skończą zdrowsi od was!

Wydajemy miliony pieniędzy na leczenie kontuzji „supergwiazdy”, a brak nam pieniędzy na operację zwykłego „zjadacza chleba”. Wiem doskonale, że żadna z wielkich gwiazd nie zapłaciła za żadną swoją operację, bądź kosztowne leczenie z własnej kieszeni. Za te zabiegi płacił Klub, Związek Sportowy lub nawet Państwo. Co więcej, często ta nieszczęsna gwiazda marudzi, że źle to zrobili!

W tym miejscu chciałbym przekazać komunikat pierwszym trenerom i opiekunom wielkich sportowców: nie oczekujcie wdzięczności od swoich podopiecznych. Po zdobyciu wielkich pieniędzy będą zmieniać was jak rękawiczki! W całej swojej karierze spotkałem tylko kilka wyjątków od tej życiowej prawdy. Co gorsze, po pewnym czasie gwiazdy te zaczynają wierzyć, że same się stworzyły. Z pożałowaniem patrzą na swojego pierwszego skromnego trenera, który ich odkrył i ukształtował. Znam takie przypadki. Pamiętam nawet sytuację, kiedy ledwo piszący i czytający zawodnik wyciągnięty znikąd zapomniał, jak nazywa się jego pierwszy wychowawca.

Ci „wielcy” szukali swojego miejsca w sporcie, bo było to ich jedyne wyjście, aby zaistnieć w otaczającym ich trudnym świecie. Sami nie daliby sobie rady.

Wspomniałem w książce również o tym, ile pieniędzy wydawanych było na tak zwane wspomaganie, zarówno czyste, jak i nieczyste, aby zrobić z tych nie zawsze utalentowanych ludzi, wielkich mistrzów. Pisałem też o wejściu kobiet do naszego sportu – na początku niewinne i czyste, a z biegiem kariery sportowej zaczęły szukać wyniku za wszelką cenę. Spójrzmy na listę ukaranych za doping przez Międzynarodową Federację Podnoszenia Ciężarów (IWF) zawodników, wśród których coraz więcej jest dziewczyn. Metoda polega na tym, że trener, widząc mniej lub bardziej utalentowanego zawodnika, zaczyna proponować mu tak zwane odżywki. Tenże trener zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że wraz z wynikiem zawodnika, sam również się wypromuje. Zdarzają się i takie przypadki, że zawodnik sam prosi trenera, który jest uczciwy w tym zakresie, aby dał mu coś wspomagającego, coś na „szybki postęp”. Te zdarzenia doprowadziły do powstania Organizacji WADA, czyli Światowej Agencji Antydopingowej, która zaczęła walczyć z tą plagą. Utworzono więc laboratoria, zatrudniono specjalistów i kontrolerów. Dzięki temu powstała cała armia ludzi jeżdżących po świecie, szukających i kontrolujących zawodników. Z tego samego powodu utworzono specjalny

system meldowania się zawodników u tejże Komisji, po to by wiedziała ona, gdzie znajdują się w każdym momencie przez cały rok.

W czasie, kiedy laboratoria sprawdzają próbki moczu i krwi szukając niedozwolonych środków będących na zakazanej liście, koncerny farmaceutyczne pracują nad nowymi środkami niebędącymi na owej liście. Prawdę mówiąc, jest to zabawa w kotka i myszkę. Wychodzi na to, że te najbardziej zakażone plagą dopingu sporty zostaną wyparte przez sporty nowe, czekające na swoją szansę uczestniczenia w Igrzyskach Olimpijskich. Liczba dyscyplin i ilość medali jest bowiem zamrożona (przynajmniej aktualnie). Nie piszę tych słów jako zgorzkniały, stary trener i działacz, ale jako bardzo doświadczony w każdej sytuacji i wykształcony człowiek. Wierzę, że z wiekiem przychodzi pewna łatwość zimnych refleksji, ale podszytych życzliwością. Powtarzam – nie poznałbym świata bez pracy w tym sporcie, ale właśnie po latach i wielu podróżach zgromadziłem mnóstwo przemyśleń. To, czego dokonał nasz sport w kraju, to już historia. Teraz, niech dowodzący tą dyscypliną pomyślą głęboko, co dalej. Niech cieszą się każdym medalem zdobytym przez dziewczęta czy chłopców, bo seniorom jest coraz trudniej. Wyobraźcie sobie, że obecny trener PZPC miał wpadki dopingowe. Czy taki człowiek jest wiarygodny? Tacy ludzie mają uleczyć nasz sport z dopingu?! Mam kolegów skupiających się na historii wyników, ale nie na problemach dopingowych! Wyobraźcie sobie moi Czytelnicy, że doszło do sytuacji, kiedy to po latach zabierane są zwycięzcom medale, a dawane tym z niższego stopnia podium, bo okazało się, że tamci byli dopingowani. Dziś słyszymy hymn, widzimy medal, flaga na maszt, a za kilka lat okazuje się, że było to dla oszusta! Niestety nie widzę refleksji krajowych władz wobec tego, co się dzieje. Federacja Światowa robi co może, żeby utrzymać nasz sport na liście uczestników w Igrzyskach Olimpijskich. Doszło nawet do tego, że nasze krajowe laboratorium antydopingowe na skutek jakichś niby awarii uznało za czystego pewnego zawodnika, który pojechał na Igrzyska Olimpijskie do Rio de Janeiro i który wpadł od razu przed startem. Zresztą drugi z zawodników również nie wystartował, bowiem w końcu polskie laboratorium dało sygnał, że wykryto u niego jakieś substancje wspomagające. Powtarzam – jest to jak ping-pong! W jaki sposób możemy okłaskiwać aktualnego mistrza, skoro jutro albo za kilka lat może okazać się oszustem?

Zakończyłem książkę niezbyt optymistycznym akcentem, jeśli chodzi o nasz sport, czyli wyczynowe podnoszenie ciężarów, ale zachęcam gorąco wszystkich do uprawiania sportu w domu, w siłowniach, na powietrzu. Bo siła, tak zwany tonus mięśniowy przydaje się bardzo w każdym wieku.

W tym miejscu pragnę dodać kilka słów o odżywianiu. Wędrując po świecie, zaobserwowałem, że w krajach, gdzie dieta jest uboga w białko, ludzie są zwyczajnie mniejsi w porównaniu z tymi, którzy

jedzą go więcej. Nie wymieniam krajów ani kontynentów, aby nie zdyskredytować którejś ze stron. Prawda jest jednak taka, że człowiek jest od powstania dziejów wszystkożerny. Pewnie narażę się tutaj wegetarianom lub weganom, ale oni chyba nie bardzo zdają sobie sprawę, jak słabymi ludźmi będą na starość i w jakiej kondycji będą ich dzieci. Hołdują modom, popularnym zwyczajom, ale nie zdrowemu rozsądkowi. To tak, jakbyśmy chcieli przekonać lub zmusić lwa, żeby jadł trawę. Ci ludzie dla swojej fanaberii zapomnieli o prokreacji i zdrowych potomkach, którzy będą częstymi pacjentami klinik ze względu na swój stan zdrowia. Piszę to, mając rozległą wiedzę na temat odżywiania. Przez wiele lat robiłem jadłospisy i układałem diety dla moich podopiecznych, obserwując ich zdrowie, a w późniejszym czasie zdrowie ich dzieci.

Wyszło trochę tak, że do epilogu wprowadziłem poradnik o odżywianiu, ale po tylu latach pracy w sporcie siłowym wiem, o co chodzi i jak to działa. Siła jest najważniejszym faktorem dla człowieka, najważniejszym, aby funkcjonować sprawnie. Przecież bez siły nie podniesiesz się z łóżka! Tutaj mózg ani zdrowa wątroba nie pomogą. Najpierw zaczęła się rozwijać wartość siły, to znaczy mięśni, a dopiero potem dzięki temu rozwijać mogły się inne organy. Jak bowiem pradawny człowiek mógł polować, nie mając siły mięśni, mając jedynie sprawny mózg?

W Stanach Zjednoczonych na prostym aparacie badano siłę uścisku dłoni starszych ludzi w wieku siedemdziesięciu lat i więcej. No i co się okazało? Ci z najlepszymi wynikami żyli dużo dłużej od pozostałych. Zresztą.. czyż serce to nie mięsień? Oczywiście, że tak, tylko innego rodzaju z inaczej ułożonymi włóknami niż inne mięśnie, na przykład biceps.

Dobrze. Dość tego wykładu! Mam jednak nadzieję, że da to komuś do myślenia. Dbajcie więc o swoją siłę na co dzień w taki czy inny sposób, ale niekoniecznie dźwigając tylko sztangę. Z uwagi na wszystkie powyższe przemyślenia, tytuł mojej książki brzmi „Tocząc (...)”, a nie dźwigając sztangę przez świat.

Recenzja – Książka Andrzeja

Tocząc sztangę dookoła świata – opowieści Andrzeja Skiby.

Są to zamierzone ze sporym rozmachem epickim wspomnienia jednego z najwybitniejszych trenerów polskiego sportu ciężarowego, a przy tym urodzonego gawędziarza, bywalca salonów artystycznych Warszawy i obieżyświata. Urodzony w powojennej Warszawie w rodzinie urzędniczej Andrzej Skiba od najmłodszych lat związał swoje życie ze sportem. Część wspomnień poświęcona dzieciństwu i młodości obfituje w opisy spotkań i przyjaźni z przyszłymi czołowymi zawodnikami wielu sportowych dyscyplin; to środowisko YMCA, Skry oraz AWF. Jednocześnie Andrzej Skiba funkcjonował w warszawskim mondzie, obracając się wśród celebrytów owej epoki - aktorów, artystów sztuk plastycznych, pisarzy i dziennikarzy. Jego wspomnienia z tamtego okresu to skarbnica anegdot z młodości wybitnych później twórców i działaczy.

Kolejny blok tematów w opowieści Andrzeja Skiby dotyczy złotego okresu polskiej kulturystyki i ciężkiej atletyki, czasu triumfów polskich zawodników na międzynarodowych arenach. Z właściwym sobie humorem i darem opowiadania, Trener przytacza zarówno komiczne, jak i dramatyczne momenty z życia osobistego i kariery najwybitniejszych polskich sportowców. Znajdą się tu także pochodzące z pierwszej ręki informacje i refleksje na temat znaczenia środków dopingujących we współczesnym sporcie oraz – związanych z ich stosowaniem dylematów i skandali.

Osobna, a zarazem najbardziej barwna część wspomnień obejmuje podróże i pobyty Andrzeja Skiby w tak egzotycznych dla polskiego Czytelnika państwach, jak Katar, Gwatemala, a także w wielu krajach Południowej Ameryki, Afryki i Azji, w których Andrzej Skiba miał okazję pracować przez wiele lat jako kontraktowy trener miejscowych reprezentacji i klubów sportowych. Ta część wspomnień obejmująca okres od lat siedemdziesiątych aż do obecnej dekady XXI wieku obfituje w zarejestrowane przez Autora osobliwości kultur i zwyczajów, opisy zderzeń odmiennych cywilizacji, poczynawszy od południowoamerykańskiego świata macho, poprzez pełne rewolucyjnej czujności (i chęci wystawiania jej na ciężkie próby) sportowe społeczności tak zwanych krajów demokracji ludowej, aż po krąg kulturowy muzułmańskich podopiecznych Trenera, którzy – dla przykładu – odbywali sesje kar cielesnych z użyciem specjalnie skonstruowanego urządzenia wymierzającego chłostę w zastępstwie kata.

Książka może liczyć na spory rezonans nie tylko w środowisku miłośników ciężkiej atletyki. Za sprawą usytuowanie narratora w kręgu warszawskiego światka artystycznego będzie także bogatym

źródłem dowcipnie podanej wiedzy o tym środowisku oraz opowieścią podróżniczą, adresowaną do bardzo szerokiego grona Czytelników.